Biblioteka
UMK
Toruń
364468

WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI

DUSZA MÓWIĄCA

W

127.

POD ZNAKIEM POETÓW

WYDAWNICTWO JAKÓBA MORTKOWICZA

364468
50225

WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI

DUSZA MÓWIĄCA

WARSZAWA MCMX J. MORTKOWICZ
[1910]

364468

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

K. 1617/65

ŚWIETLANEJ PAMIĘCI BRATA MOJEGO STANISŁAWA
POŚWIĘCAM

Odjechał, a po sobie zostawił wspomnienie
Przykre — gadów ohydnych pełzające ślady.
Bliżcy powiedzą o nim trwożnie: Był on blady,
A w jego głowie drzewo zła miało korzenie.

Nikt go nie mógł ukochać: mętne tajemnice
Szumiały w jego serca purpurowej jamie...
Na swem czole miał głuche, kainowe znamię,
A jego oczy smętne były, jak księżyce...

Zwykle milczał; lecz kiedy mówił, z pod kurzawy
Ciemnych pojęć, słuch łowił, przerażon do głębi,
Namiętny, w ciężkiej ciszy, ostry krzyk jastrzębi,
A wzrok dojrzał lecący puch z gołębic, krwawy...

Wszyscy odeń stronili, nie mając ochoty
Być w kręgach jego myśli: więc, w kącie komnaty,
Sam jeden ze swym cieniem, dziwne poematy
Układał, pisząc węglem smutku i zgryzoty...

Z domu wychodził rzadko — o słońca zachodzie —
I w parku szedł, wśród kwiatów, pełen zimnej pychy;
A rzędy drzew, w aleach, mruczały jak mnichy
Egzorcyzmy, zgadując, że Złośnik w ogrodzie...

Noce miał niespokojne; szeptał: »O Sezami
Dusz naszych, odsłoń skarbów twych złote kobierce!...«
A potem krzyczał, raniąc jakieś Dobre Serce,
I wielkie groby kopał i łkał nad grobami...

Odjechał, gdzieś daleko, na losy tułacze:
Szczerą uczuli ulgę wszyscy z tej rozłąki,
Otwarto spiesznie okna, powiał podmuch z łąki
I zmiótł ostałe po nim grzechy i rozpacze...

Przed odjazdem napisał: »Żegnam! Za mą trumną
Nikt z was pewnie nie pójdzie?... Żyłem wedle
[skruchy.
I tam, kędy się piętrzą Wielkich Gór łańcuchy
Duch mój zapłonie świętą, ognistą kolumną!«

DOMUS AUREA

I.

Szedłem, mając za sobą fantazye Zachodów
Z złotych żółwi na morzu, z chmur ognistych ptaków,
Przez kraje niedotknięte nigdy tchnieniem lodów,
Woniejące zapachem gorejących krzaków!

Tajemniczych gwiazd światła, z wyżyny lazuru,
Niby płatkami lilii chłodziły mi lica,
A noc, wielka olbrzymka z czarnego marmuru,
Niosła przede mną cichą latarnię księżyca.

Nieznanych drzew olbrzymich zrywałem owoce,
Które mają smak buntu i słodycz ust żeńskich,
I z wód szumiących piłem bohaterskie moce,
I oto byłem gotów do wypraw zwycięskich.

Na szczerozłotych strunach, o których się nie śni
Śpiewakom ziemi, słońcu, w siłaczów pokorze,
Wielkie śpiewałem hymny, a mej głośnej pieśni
Olbrzymio harmonijnie wtórowało morze!

Odwiedziłem w siedzibach górnych wzniosłe Magi,
Ukląkłem przed grobami Świętych w głębi lochów,
I tak ucałowałem zimne sarkofagi,
Iż mam jeszcze na ustach pocałunek prochów!

I oto w dom, którego przed laty zuchwale
Odbiegłem, znowu wracam, mając w sobie ciszę;
A jeśli jeszcze jakiś Bóg przemówi w chwale,
To ja, próżen hałasu już, Boga usłyszę!

II.

Słów mych uderzę w was słonecznym grotem
I śpiewać będę z anielskiem wzruszeniem:
Cieszmy się! Dusza jest wewnątrz Płomieniem,
A zewnątrz — Lotem!

III.

Ja jestem panem na górnych wieżycach,
Które wśród równin stoją jak strażniki,
Z strzałą na gwiazdach złotych i księżycach.

Znam firmamentu najgłębsze tajniki;
Światy ogniste nieba, globy żywe,
Gadają do mnie jasnymi języki.

Tchnienia wzniosłości rozwiały mi grzywę,
W żar rozpaliły węgiel mej tęsknoty,
Hymn zaśpiewały sercu, miłościwe!

I oto w snach mych — lazurów namioty,
I w woli mojej — sine błyskawice,
I w mych rozkazach — latające grzmoty.

I oto moje opuszczę wieżyce
I zejdę w nizkość krainy popiołów,
Kędy nędzarze żyją i nędznice —

I z nich wywiodę ród Jasnych Aniołów.

IV.

Wieczny mnie rodzi Ogień i wyznaję Słońce:
W świątyniach jego Wschodu odprawiam obrzędy
Piękne, jak ziemia moja, gdzie kwieciste grzędy
I drzewa są sezamem owoców płonące.

Mieszkam w szałasie z myrtów i pachnącej kory
Aloesu, wiotki, radosny dom! na błękity
Otwarty, by doń weszły jasnych duchów świty
I moc życia, śmiertelnie rażąca upiory.

Niewiasta ma Praw nie zna, lecz ręką swą wieńczy
Czoło śpiewaka laurem; ma urok młodzieńczy,
Jest ową Obiecaną, co czerpie z krynicy,

Amforą smukłą, słodki napój Tajemnicy —
Więc gdy miłośnie moje ramię ją otoczy
Drży z rozkoszy, jak fala, i zamyka oczy...

V.

Oto co rozkazuje głosić mistrz mój Słowo
(Niech będzie pochwalone!): O Dusze-Mówiące!
Kierujcie tęsknot waszych lot na Święte Słońce:
Ono Pańskiego z wami Przymierza odnową.

Czyż na to was rzuciła w światłość przedwiekową
Dłoń Mocy, której godła na niebie są lśniące,
Abyście legły jako kamienie milczące,
Strącone z gmachów życia w przepaść bezechową?

O, wstać z hejnałem siły! Rozedrzeć te krepy
Waszych żałobnych nocy! W ogród zmienić stepy,
Niechaj na piaskach płoną Gorejące Krzaki!

Albowiem czas już blizki i zjawią się znaki,
I biada słabym! Rywal stłucze im w czerepy
Czaszki i w nich zasieje kwiaty swe — robaki!

VI.

Śpiewajmy Ognia Świętego objawy,
Od których życie, wiedza, moc powstała:
Słońce i Gwiazdy i Księżyc złotawy —
Wiecznie im chwała!

Śpiewajmy Ognia Świętego objawy!

Niechaj nad nami kwitną Gwiazdy Boże,
Abyśmy duszy naszej nie splamili:
Ona ma białość na ciemnem jeziorze
Przedziwnej lilii.

Niechaj nad nami kwitną Gwiazdy Boże!

Niechaj nad nami świeci Łuk Księżyca,
Aby, w powoje srebrne owinięta,
Szła dusza nasza, wieczna wędrownica,
Która pamięta...

Niechaj nad nami świeci Łuk Księżyca!

Niechaj nad nami płonie Wielkie Słońce,
Byśmy nie legli wśród smutku popiołów,
Lecz byli duchem, jak orły, lecące
Do Archaniołów!

Niechaj nad nami płonie Wielkie Słońce!

VII.

Kocham! Goreję! — Milcz ty! tak mowa jest pusta!
Serce grzmi, łono dyszy, w głębiach, nawałnicą!
Ach! przymruż lśniące ognie oczu, tygrysico!
Ach! daj mi kąsać żywe kwiaty, twoje usta!
Niechaj twą kibić ścisnę ramion mych obręczą,
A mleczne bryzgi moich gwiazd, z twą krwawą tęczą
Chciwie skłębione, w łona twojego przestworza
Rzucą drgającą wieczność!
Ciała, jak dwie fale
Leżą, mdlejące, lśniące, w słonecznym upale:
O hej! na złotych brzegach życia Fale Morza!

VIII.

Rokhu! bajeczny gryfie oryentalnych marzeń,
Któryś Syndbada wyrwał lotem swej potęgi
Z ostrowia, gdzie nie było ducha, i w gwiazd kręgi
Rzucił i nurzał w rozkosz niebiańskich przerażeń!

Rokhu! straszny zjadaczu węży! oto wrażeń
Codziennych płazów zdradnie wokół mnie lśnią pręgi,
A przed blaskiem mych oczu puste widnokręgi,
A moja głowa płonie głodem wielkich zdarzeń!

O! rozwiń nad mem czołem skrzydeł swych wachla-
I porwij, kędy gorą słońc, planet ołtarze [rze
I hymn Duszy Powszechnej brzmi, po trzykroć święty!

A jeśli mą nicością pęd twój latający
Wstrzymam — to ciśnij w wąwóz klejnotami lśniący,
Niechaj roztrzaskam czaszkę mą o dyamenty!

IX.

O wy wyniosłe, granitowe wieże,
Pchnijcie w wszechświaty swe jasne pacierze,
Gdy noc w popłochu!

O wy się wznoście, niezdobyte góry,
Co hełmem macie pierwotne lazury,
Zaraniem lśniące!

* * *

I usłyszałem modlitwy spiżowe,
I oto kłonię ku ziemi mą głowę
I duch mój w prochu...

A potem wstanę i pójdę na szczyty,
Abym się rzucił na święte błękity
I chwytał słońce!

* * *

Huczcie, o dzwony! uderzcie w me serce,
Aby swem biciem raziło bluźnierce
I niedowiarki!

Huczcie, o dzwony! niechaj moje żyły
Toczą purpury! niechaj krwi mej bryły
Zaszumią, wrzące!

Huczcie, o dzwony, potężne modlitwy,
Abym nie runął z mej górnej gonitwy,
Jak kamień szparki...

Huczcie, o dzwony, jednym wielkim chórem,
Abym, odziany świetlanym lazurem,
W pięści miał słońce!

X.

Ponad górami, kędy orłów gniazda,
Mój lot i moja jazda!
A na niebiosach, tej najwyższej z ksiąg,
Płomienny rapsod mego ducha,
Którego każde słowo: Gwiazda!

— Wieczność mnie słucha.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

XI.

A przedewszystkiem ty, więcej pokory
W sobie na przyszłość miej. Nie bądź tak skory
Do wykrzykników: Słońce! Szczyt! Lazury!
Bo jeśli orłów mieszkaniem są góry,
To wiedz, że także są miejscem żałoby,
Na którem ludów rzesza stawia — groby...

(A gdyby ojciec twój miał tam swą trumnę,
Czybyś ty często szedł na wirchy dumne?)

Patrz się na jezior spokojne zwierciadło:
Anielsko wiernie odbija widziadło
Wysokich światów, a tak pełne ciszy,
Iż dusza twoja wyraźnie usłyszy,
Jak cicho szepczą, śląc wonne ofiary,
Śnieżystej lilii kwiat i nenufary...

TRYUMFY

ICZTERY SONETY, PISANE RAZEM
Z BRATEM POETY, STANISŁAWEM

OJCU SWOJEMU SYNOWIE
STANISŁAW I WINCENTY.

Nowych światów odkrywcy, niespokojni gońce,
Ścigający swym wzrokiem Hesperyd ogrody,
Zwińcie żagle już wzdęte! Na niepewne wody,
O żeglarze! wstrzymajcie korabie płynące.

Błogosławić tu przyszedł waszej drogi końce
Boski Starzec — Ulisses i Syndbad. — Zachody,
Wschody, północ, południe, lądy i narody
Wszystkie widział, i poznał, na co patrzy słońce.

Chodźcie; w sercu pomieścił, jak w cedrowej skrzyni
Drogie skarby mądrości (żywe i śmiertelne) —
Z lichym mówił robakiem i z Bogiem w pustyni.

Chodźcie zaczerpnąć słodycz z prac Jego stulecia,
Albowiem Jego myśli, złote roje pszczelne,
Zebrały dla was miody z wonnych ziół i kwiecia.

SŁONIE.

Przez głuche, nieruchome, przedwiekowe puszcze,
Pod sklepieniem konarów, wśród odwiecznej mroczy,
Ciężkim chodem, poważnie, słoni tabor kroczy,
Łamiąc z chrzęstem stłumionym gałęzie i kuszcze.

Bóg lasów, ustrojony w zwoje ljan i bluszcze,
Zbudzony ze snu, który powieki mu tłoczy,
Zdumieniem zdjęty, wraża złowrogie swe oczy
W te milczenie mącące i zuchwałe tłuszcze.

One uczuły wzrok ten. Stają. Wściekłe gniewem,
Wzniesionemi trąbami walą w buki, dęby:
Bór cały się kołysze, jak okrętów maszty;

Chwiejąc się, z trzaskiem drzewo upada za drzewem...
Nagle, z tryumfem, słońce wdziera się przez zręby,
I patrzy na zwycięzców cielsk potworne baszty.

TARCZA ACHILLESA.

Hefajstos, boski kowal, kruszcu złom w ciemnicy
Gór przepastnych, gdzie wiecznie panuje noc głucha,
Zdobywszy, z trudem niesie, sapie, chwyta ducha,
Aż wreszcie na ziem ciska w głębi swej kuźnicy.

I skinął: na znak jego czujni robotnicy,
Cyklopi, ogień niecą: już żar krwawy bucha;
Więc bryłę weń wrzucają, aż skier zawierucha
Gardzielą Etny strzela w dymów nawałnicy.

On tymczasem młot chwyta w dłoń i z siłą turzą
Kuje metal jarzący, a echem mu wtórzą
Uderzenia Cyklopów, olbrzymich wśród żaru.

A coraz bardziej nagli młota swego razy,
Albowiem ujrzał, mocą swej twórczej ekstazy,
Na tarczy Achillesa Gród w łunach pożaru.

DAWID.

W łuszczastą karacenę odzian Olbrzym hardy,
Filistyńczyk z Geth, Goliath, w miedzianym puklerzu,
Trzymając Izraela na hańby pręgierzu,
Ciska mu w twarz wyzwanie i słowa pogardy.

Ku niemu szedł Młodzieńczyk. Siłacz pełen wzgardy
Patrzał, jak biegł ten pastuch na śmierć i żer zwierzu;
Lecz onci chłopiec z Panem Zastępów w przymierzu,
Sięgnąwszy do swej torby, wyjął kamień twardy,

Wsadził w procę i kręgi zatoczył nią wkoło:
Kamień z świstem się wyrwał i wrył w groźne czoło;
Olbrzym nagle się zachwiał i runął na ziemię.

A Dawid, przybieżawszy, w gardziel miecz mu wtłacza
I wysoko wzniesionym, ściętym łbem Siłacza
Sieje postrach ogromny w Filistynów plemię.

SPOTKANIE

I.

I stał mój namiot, lśniący jako gołębica,
Wśród złotych piasków ziemi i niebios płomieni;
Słońce strzałami blasków raziło me lica,
Serce moje gorzało! — Więc jako spragnieni
Szukają pilnie, kędy jest chłodna krynica,
Tak zapragnąłem rosy i pachnących cieni:
I nagle — muszą spełnić się wyroki losów —
Noc nadeszła i skryła mię w głębi swych włosów...

II.

Oto długo czyhałaś, niewiasto,
Na tej drodze,
Z wzrokiem utkwionym w miasto,
Którego się wznoszą wieżyce i tumy,
Jako pomniki dumy,
Lśniące w słonecznej pożodze.

Oto przychodzę...

Lecz wiedz, rozczarowane są czasy,
Że lęk i trwoga ogarniają duszę —
I, nim pójdziem społem, wpierw muszę
Tajemną pojąć treść i cel twej krasy.
Postawa twoja jako wotywne drzewo zaklęte,
Którego owoce święte
Każdy ma zerwać prawo, czy jasny jego ród,
Czy podły i nikczemny, aby łagodził trud
Podróży swej — drogą jałową...

Postawa twoja jako wotywne drzewo zaklęte,
W syryjskiej ziemi, i dlatego smutki niepojęte
Powstają we mnie rzeszą pogrzebową...
I gniewu mojego orzeł się trzepoce,
I, widzę, wspiął się! wnet skrzydła rozpostrze
I runie z słońca! i zatopi ostrze
Szponów w pierś i dziób swój krzywy w oczodoły
Nędzarza, co twoje zerwie owoce,
Słodkie, a jednak suche, jak popioły!...

A potem własne będę krwawił serce,
Iż zazdrości toporem
Pień twój w perz zdruzgocę!
A ciało twoje z próchnem weźmie ślub!
A potem będę żył w poniewierce
Haniebnym tworem,
Lecz ten, który przyjść miał po mnie, ujrzy twój [grób!...

Oczy twoje... Pamiętam pieczary,
U gór wysokich podnóża,
Kędy majaczy
Upadek mój w rozpaczy!

Pamiętam obszary,
Chmur hebanowych ściśnięte obręczą,
A jednak jasne, nieskończone obszary,
Gdzie klęczą moje zachwyty — przed zguby godziną...

A dwie błyskawice prężą się do skoku
I zwycięsko zabłysną w nadchodzącym mroku!

Pamiętam moczary,
Nieruchome, mętne wody, gdzie zgnilizną siną
Ciała topielców przerażonych płyną,
A nad niemi komarów roje i much chmary,
Zbite w jakieś ruchome opary,
Jęczą nudą żałobną i szmerem muzyki
Zgonów, a z piekieł powstałe mary
Tańczą, a z zielonych ich rąk,
W krąg,
Niby ogniste ptaki,
Fruwają błędne majaki...

I gaśnie lampa Mędrców,
A Poeci — błądzą...

WĘGLEM SMUTKU I ZGRYZOTY

I.

Ach, jak często się kończy hymn życia głęboki
Wykrzyknikiem cyprysów ciemnym, wśród cmenta-
[rzy!
Ach, jak często łka we mnie, kryjąc wstyd swej
[twarzy,
Smutna madonna pieśni tej nędznej epoki!

A ja tak ukochałem świetlane uroki
Wasze, o gwiazdy, lśniące, kiedy coraz szarzej!
A jam tak czcił, o słońce, moc twą, co się żarzy
Na niebiosach, by tryumfem ognia razić mroki!

A oto teraz światła trudnię się gaszeniem
I śniąc o białej magii wieczystych południi,
Uganiam się, smutny szaleniec, za cieniem...

Noc posępna w dziedzinach myśli mojej gości,
A dusza moja leży na dnie ciemnej studni,
Niby upadła gwiazda, łza nieskończoności!...

II.

J. A. KISIELEWSKIEMU.

Nad szmerem strumieni
Skonały niezabudki;
W łanach zbóż — bławaty;
W mrocznych lasów zieleni —
Białe smutki
Konwalii.

A Zachód wieczorny się pali
W ogrodzie, kędy lilia czysta
W rezygnacyi —
A na jej modlitwach żmija
Swoje pierścienie obwija,
Żałobna i promienista...

Zachód wieczorny się pali
I nie będzie księżyca i gwiazd na firmamencie:
Ogień Zachodu i zmierzchy,
W jakimś szalonym zamęcie,

Pokryją kirem drzew wierzchy —
I będą cyprysy;
Ubiorą w szkarłaty
Kwiaty —
I będą róże;
Spadną tumanem krwi, legną w popiele —
I będą maki;
I, dziwnym czarem ich —
Asfodele!

III.

Żadna z mych pieśni nie dobiegnie końca:
Ogród mój więdnie bez promieni słońca,
I oto idę, z bólem na dnie czaszki,
Po chłodnych ścieżkach, gdzie, jak złote blaszki,
Szeleszczą liście. Czasem, skądś z ustroni,
Powionie zapach, lecz to echo woni,
Subtelne de profundis późnych kwiatów:
Niemasz jaśminów już, ni róż szkarłatów!
Niekiedy na gałęzi nagiej drzewa
Jakiś usiędzie ptak, krótko zaśpiewa
I odlatuje... Jak puste gospody
Chylą się drzewa, na wybrzeżu wody.
A serce bije, dusza tęskni — za czem?
Wodotrysk zrywa się i spada z płaczem...
Szlachetne oczy, które zachwycała
Jasno-różowa biel żywego ciała,
Spojrzenia teraz zamieniają z Parką...
Oh! jak miłości czas przeminął szparko!

Z złamaną strzałą, Eros, wyczerpany,
Leży u zimnych stóp jałowej Dyany.
Niebo się krwawi na krańcach zachodu;
Mroki ogarną wnet obszar ogrodu —
I oto dążę, gdzie mnie nikt nie czeka,
Wlokąc za sobą smutny cień — Człowieka.

IV.

Magiczne blaski i fantasmagorye,
Które w mej duszy palą się od Wschodu,
Tak szarzejące, kiedy smętne norye
Zawodzą długim żalem, bez powodu!...

I zdaje mi się, że w zimnej fontannie
Jestem posągiem i tulę w uścisku
Boginię białą — a płacz, bezustannie
Na nas błękitny pada wodotrysku...

I nigdy dosyć łez, byśmy oboje
Mogli na zawsze zniknąć wśród ich toni!...
I wiecznie z wzrostem fal nowych łez zdroje
Płyną podlewać krwawy gaj Ironii...

V.

Upadłych liści zamieć w wir się kłębi:
Płomienie świecą i gasną, i lecą...
Spojrzenia niewiast jak jeziora świecą —
I widno będzie w sercu, aż do głębi...

W zmierzch niebios leci rój krwawych gołębi;
W ogrodzie coraz więcej liści pada...
Miłość niewiasty do serca się skrada:
Zima wyszczerza białe, ostre zęby...

VI.

Odejdź ode mnie! Smutną jest biel ciała,
A dreszcze pieszczot są długą agonią —
Dusza już moja w objęciach konała,

A jeszcze nad nią łzy oczy me ronią,
A jeszcze serce me krwawi okrutnie!...
Tak, dreszcze pieszczot są długą agonią...

Słoneczna przeszłość moja zgasła smutnie,
Świątynię myśli ciemność zamieszkała,
U stóp twych świętą pohańbiłem lutnię!

Odejdź ode mnie! Smutną jest biel ciała...

VII.

Objęłaś życie moje w posiadanie
I zapachniały mi czary twych włosów...
Lecz wnet w rozłączeń rzuciłaś otchłanie
Żyjącą miłość mą, słoneczność losów!

I nigdy sen już nie zamknie mi powiek,
I ciągle słyszę serca swego bicie,
I będę jako tajemniczy człowiek,
Który po śmierci patrzy w swoje życie...

VIII.

A więc na zawsze żegnasz mię? To dobrze.
Pokój niech będzie z tobą, piękna pani.
Czy z tobą rozstać się boleśnie rani?
Z żyjących jestem: wszystko zniosę chrobrze.

Oto jest pierścień, odbierz. Kamień złoty,
Jak lustro w ramie srebrzystej, majaczy;
Oto są listy, mówiące inaczej
Niżli twe usta... Stylistyczne zwroty.

Nie szydzę, pani. Wierzyłem niezłomnie
W wszystkie twe słowa: »Kochaj mnie wieczyście!
Wiosna! Na drzewach, patrz, pachnące liście!
Wiatr szumi! Słońce świeci! O, pójdź do mnie!«

Lecz nim odejdziesz, pozwól, w twoje oczy
Raz jeszcze spojrzę. Ich czarem spowity,
Mówiłem zawsze: »Żywe chryzolity,
Lśniące w głębinach miłosnej roztoczy...«

Lecz nim odejdziesz, pozwól, niech popieszczę
Twoje przesłodkie, rytmiczne kolana,
Niechaj zmysłowe zaśpiewam hosana!
Na twojem łonie, gdzie jest blask i dreszcze!

I myśleć, że tam jakieś bezimieńce
Wtargną do twojej piękności świątyni,
I pośród tłumu, tej ducha pustyni,
Zgasną na twojem czole — moje wieńce!...

O, żegnaj, żegnaj! Odsunę wrzeciądze,
Otworzę wrota serca, gdzie, wśród mgławic
Szumnej purpury, lśnią pęki błyskawic
I w harfę życia dzwonią moje żądze!

Odejdź! Ostrożnie! Zapalę płomienie,
Bo ciemność nocy głęboko się szerzy —
A ty w dół idąc ze szczytów mej wieży,
Potknąć się możesz i runąć w bezdenie...

IX.

Czy blizko będziesz przy mnie, czy daleko,
Nie zmieni w radość to smutku mych dni:
W oczach twych, bladą przymkniętych powieką,
Już położyłem umarłe swe sny.

Już pożegnałem się z twojemi usty,
A z rąk twych powiał już rozłączeń znak:
Cóż stąd, że serce, czując wszechświat pusty,
Drgnęło kurczowo, jak zraniony ptak?

Ty wiesz, kto jestem; ja — poznałem ciebie;
Oto przed nami łachman zdjętych mask:
Gardła ściśnięte są, jak na pogrzebie...
Oh! jaka próżnia! jaki nędzny blask!

Gwiazdy padają, martwe, w głąb chaosu,
Widzę miłości zwłoki pełne plam —
I łkają płaczki-żałobnice losu,
Żeś tak samotna ty, że ja — tak sam!...

X.

A oto teraz, na rozłączeń brzegu,
Żywot goryczy w samotności wiodę:
Dni moje nikną — spojrzyj:
Płatki śniegu padają w wodę...

XI.

Dziś jak i wczoraj, przeminął czas smutnie,
Jałowo, niby pusty wiatr jesienny,
Co wonny ogród obdziera okrutnie.

A stan goryczy ten trwa, wciąż niezmienny,
Od dawien dawna już!... Jestem w żałobie...
I oto piszę wyraz »Bezimienny«

Na progu życia swego, jak na grobie.

XII.

Jak okiem w dal sięgnąć — stroskane bezdroże.
Czas wokół nas depcze po serca ofierze,
I jesteśmy smutni, jak smutne wybrzeże,
Przy którem od dawna nie śpiewa już morze.

I badam, schylony, przyszłość naszą w szlakach,
Które los rozrzucił po bezgwiezdnej toni:
Może jaka pomoc jest teraz w pogoni?
Może jeszcze jaka nadzieja lśni w znakach?

Jak okiem w dal sięgnąć — stroskane bezdroże.
Czas wokół nas depcze po serca ofierze,
I jesteśmy smutni, jak smutne wybrzeże,
Przy którem od dawna nie śpiewa już morze!

XIII.

Mówiłem ciągle: Jutro zrobię —
Ale dotychczas nie zrobiłem...
Bezdomnym będę nawet w grobie,
A życia jasny dom — straciłem...

XIV.

Im częściej człowiek myślą w próżnię życia wchodzi,
Widzi, jak sny spadają w nicości głębiny:
Nic bezmiernej tęsknoty smutku nie łagodzi
I nic nie pociesza stroskanej godziny!

Wiecznie znane już brzegi, niezmienne pejzaże,
Biegi wód zamyślonych, kędy łabędź płynie —
I żadna niespodzianka — wciąż te same twarze,
Nie dające dźwięku nowego godzinie!

I zawsze, z powolnością, podobną do słoty
Płaczącej w dni jesienne — gdzie przedmieścia sine,
Jakiś młyn, miarowymi swych skrzydeł obroty,
Krąży bezustannie i miele godzinę!

[JERZY RODENBACH.]

XV.

Może dzwoniono, a ja nie słyszałem?
Może wołano, a ja byłem we śnie?
A na żywota tle opustoszałem
Widnieje napis, płonący boleśnie:
Może dzwoniono? lecz nie usłyszałem...
Może wołano? a ja byłem we śnie...

XVI.

PSYCHE, MOJA DUSZO.
Edgar Poe.

Było to jak na farsalskiem polu. Ranni,
Ohydni,
Konali na brzegach rowów,
Tam, kędyśmy razem wrócili oboje
Z Psychą, moją duszą.

I rzekłem jej: »Nieprawdaż?« I rzekłem jej:
»Te łuki, jakże w gruz padają! te łupy, co za łachmany!
Ach! przeklęte były nasze bronie i przeklęte
Nasze sztandary!
Psyche, moja duszo«.

Było to jak w czyśćcu, gdzie mary rozpaczliwe
Obmywały czoła splamione
I wykręcały palce,
Tam, kędyśmy razem wrócili oboje
Z Psychą, moją duszą.

I rzekłem jej: »Nieprawdaż?« I rzekłem jej:
»Ach! te potępieńce, które żal wciąż goni,
W rajskie, pachnące kwiaty
Któż zdoła przemienić?
Psyche, moja duszo!

[J. MORÉAS].

XVII.

Ja uwięziona w lochu
I smutna jak ballada,
Anielska lilia blada
Kwitnąca w mroku.

Nie widzę już błękitów,
Ni słońca, ni księżyca;
Zakryłam swoje lica,
Rodzica smętnych.

A czasu wciąż bezmiary,
Na mą zbolałą głowę,
Długie godziny nowe
Sypią, jak popiół.

I legnę pośród prochu,
I skończę jak ballada,
I jako lampa blada
Zgasnę o zmierzchu...

O ty, co z życia zdroju
Pić idziesz rozkosz karła,
Przechodniu! patrz, już zmarła...
Może twa dusza?

XVIII.

O ty, anielski mój Zmarły!
Gwiazdy zgaszone przedwcześnie,
Oczy się twoje zawarły,
A takiś cudny, jak we śnie!...
— Narzekam, który boleśnie
Uczciłem zimne twe zwłoki —

(Nieznanej otchłani mroki
Rzucają śmierci kagańce...)

O losy, losy! Wybrańce
Życia ludzkiego odchodzą,
Niby widmowi wędrowce,
A nim się inni narodzą,
Pełne już będą grobowce!...

XIX.

O myśli moja! dzisiaj moje słowo
Świeci się barwą smutku lazurową.

Pieśń moja wzdycha, jak zdrój, co z opoki
Szczelin się sączy w pieczarze głębokiej.

I oto kładę ci na czole bladem
Ametystowy wspomnienia dyadem.

Coś, jakby łkanie, ogarnęło łono:
To gdzieś, z dalekiej wieży zadzwoniono...

Wyjdźmy. Świat cały zmierzchem otulony:
Zerwiemy ciszy wiotkie anemony.

Pójdziemy, dwoje pamiętnych wędrowców
Aż na duchową wyniosłość grobowców.

Tam życia dążą radości i żale,
Jak do wybrzeży morza — wszystkie fale.

XX.

Poznałem życie światów i treść świata,
A fazy ducha przeszły przez me życie:
Na stropie czaszki mej, jak na błękicie,
Tysiąc słońc krąży i tysiąc słońc lata.

A oto myśli krzyczą: Krata! krata!
Jedno więzienie wielkie jest to życie...
A oto serce szlocha: Na błękicie
Krew moja płonie, żywiąc serce świata!

A oto mówi dusza, cel wszechświata,
Która poznała wszystkich światów życie:
Jedynym celem: w sarkofagach śnicie,
Ponad którymi życia nicość lata...

XXI.

O serce, serce! poco dzwonisz wciąż
Tak głośno? Bóstwo skonało w świątyni...
Z wyniosłych gmachów, patrz, same ruiny,
A tylko Żebrak pozostał i Wąż...

Dokądże pragnień chmury krwawe mkną?
Ażali ślepce ujrzą gwiazd mamidła?
Oh! niechaj Wielkich Orłów spoczną skrzydła!
Oh! myśli — niechaj nad głębiami śpią!

A dusza tęskna tak u raju bram!
Słońce w zenicie, góra na równinie
I strach, rzucony na istnień pustynie
Z oczu Łazarza, Prawdy twarz i kłam!

XXII.

I ciepły jeszcze, purpurowy sznur,
Płynący z łona zranionego słońca,
Sączy się, cicho, po szczelinach gór,
O moje oczy! i już noc bez końca...

Z lękiem się kryje wszelki ziemi twór;
Serc przerażonych zamknęły się wrota —
I pustka głucha zamieszkała dwór,
I rozpaczliwa w ciemności golgota...

Więc natoż Ognia zdobyliście łup,
Złodzieje bogów, o Prometeusze?
Oh! niechaj na zawsze wieczysty grób
Pochłonie nasze biedne ludzkie dusze!

XXIII.

Nad mą głową daremnie wznosi się moc Krzyża;
W moich oczach tłum biega straszydeł i zbrodni.
Orszak grzechów i szałów ohydnych się zbliża,
Niosąc w sinych swych rękach las krwawych po-
[chodni.

Hymny brzmiące w świątyniach, uroki ofiarne,
Szmery modlitw, lecące w gwiaździste sklepienia,
Wszystko się krzywi, zmienia w wołania cmentarne,
W bluźnierstwa, krzyki, łkania, szerokie rzężenia!

Biada! biada! ma czaszka jest karczmą zbutwiałą,
Której szyld, uderzany wietrzaną nawałą,
Jęcząc, dygocząc, woła gehennę zgłodniałą!

Szatany! wiedźmy! mary! pękają wierzeje!
A chuć jakaś okropna w powietrzu się chwieje,
A ma dusza, nie mając gdzie uciec, truchleje!

XXIV.

Ach! któż mię oswobodzi od złych potęg nocy?
Jaki anioł, odwieczne pragnienie mej duszy,
Jednem swojem spojrzeniem szatany rozprószy?
Ach! któż mię oswobodzi od złych potęg nocy?

Oto trzeba już zdmuchnąć ten nędzny kaganiec,
Który smutną parodyą dnia próżno mnie łudzi:
Wiem, że duch ów promienny nigdy się nie zbudzi —
I oto trzeba zdmuchnąć ten nędzny kaganiec!

Wielkie morze ciemności! ciężkie, głuche fale...
Serce, krwawa orkiestra, gra hymn pożegnania...
Hej! na pokład! na pokład, myśli bez świtania,
I płyńmy przez posępne, głuche, ciężkie fale!

XXV.

A więc lazur na zawsze zamknął swoje wrota
Dla mych oczu? A chmury ciężkie, głuche, mętne,
Wypijają, powoli, płacze me namiętne?
A żałoba wieczysta jest moja tęsknota
Do gwiazd? A czarne ptaki myśli moje smętne?
I trumna ołowiana sny mego żywota?

A więc na jasne włosy moje, piasku szary,
Padaj, powoli padaj, na znak, żem motłochem!
Na znak, iż przed i za mną jałowe obszary
Wysiłków bezowocnych, zakończonych szlochem!
Na znak, żem trupem dojrzał dla robaków chmary!
Na znak, iż me jestestwo całe — nędznym prochem!

A wy, o moje usta! bądźcie jak więzienie
Na siedm twardych pieczęci milczenia zamknięte,
Aby to wasze słowo, nędzne i przeklęte,
W krtani wiecznie ugrzęzło, iż jest jak skomlenie
Psów rozczołganych w błocie! jak łono pomięte
Nierządnicy, karmiącej swej hańby nasienie!

A ty, o moja duszo! nie trudź się daremnie:
Odleć, jak odlatują cmentarniane ptaki,
W dal, bez kras i białości... Precz już, precz ode
[mnie!
Zgaśnij, jak gasną zwiędłe w moczarach majaki!
Spadnij w niezmiernej nocy niezgłębione ciemnie
I zgiń! Z dawna nicości tyś nosząca znaki!

XXVI.

I na śmierci czekając przyjście, ległem w grobie...
Aż Głos:
»Iżeś ty jeszcze moc miał rzeknąć sobie:
»Nikczemnym jest«, Łazarzu! wyprostuj swe kroki
I idź! Oto rozedrę Słowem Mojem mroki
I ich ciężkie łachmany, co skryły twą głowę.
I objawię ci wielkie strumienie ogniowe,
Abyś się w nich wykąpał i wyszedł bez zmazy
Na puszczę, gdzie pilnym bądź na Znak i Rozkazy!

SYMBOLE

I.

Niema, smutna harfa, na Zorzy podmuchy
Czekająca, ma dusza — pokorna jak święci
I niedbająca wcale, iż jest w niepamięci
U ludzi, których błądzące są duchy...

Jestem w samotności, samotny bez miary;
Rozmyślaniem uparte tępię swoje grzechy,
A na mych ustach kwitną przedziwne uśmiechy,
Iż tak bolesnem jest — czynić ofiary...

* * *

Ach! bo moje serce, w ciszy, wielkim szlochem
Łka od jadu, co w łonie samicy wyrasta,
I nie może zrozumieć, że wszelka niewiasta,
Jeśli nie matką jest, to tylko prochem...

I nie chce pojąć mózg w swej dumy niebiosach,
Że przepych jego marzeń, to szpitalna sala,
Gdzie nadzieja, w agonii, jękiem się użala,
Żółtawa, z pękiem robaków we włosach!

* * *

Więc, łamiąc złość moją i bratnich pokoleń
Pieśnią na cyprysowej wiszącą gałęzi,
Czekam: rychło ją wyrwie Pan Jasny z uwięzi
I hymnem we mnie uderzy Wyzwoleń!

II.

Na mojem czole, jako na kamiennej płycie,
Duchowa, niewidzialna ręka światłem pisze
Przerażające słowa: Tu samotne życie.

I czuję, że za chwilę pogrążę się w ciszę,
A zmysły moje spadną w głębokie letargi:
Duszą pomiędzy czasem a wiecznością wiszę...

Tutaj samotne życie. O wy, moje wargi!
Nim się dokona napis ten, hymn pożegnania
Śpiewajcie światu — niechaj łkają wasze skargi!

Tutaj samotne życie. O wszystkie kochania,
Zwycięstwa, klęski, smutek, wesele na przemian...
Wszystko już przeszło! — Idę w nieznane wygnania...

A w swojem łonie czyli zachowam dla ziemian
Miłość albo nienawiść? światłości lub cienie?
O, jakże srogie dzieje są duchowych przemian!

Widzę, jako znikają zachodnie promienie,
Słyszę, jak wstają nowe słońca na błękicie...
Lecz słowa me padają w Głębię i Milczenie...

Napis duchów świetlany: Tu samotne życie.

III.

Po zachodzie słońc krwawych, kiedy noc przepastną
Ciemnością świat ogarnia, niech tylko się pali
Jedna jedyna lampa; inne, niechaj zgasną!

Lampo mojej miłości, zgaśnij: Ze szpitali
Twój żar; i oto wlewasz wstręt, przesyt i nudę
W łono moje ze spiżu i w jej pierś z konwalii..

Lampo mojej nadziei, zgaśnij: rodzisz złudę,
I widzę, jak przyciągasz blasków swych alchemią
Na ogrody snów moich ciężkie chmury rude...

Lampo mej wiary, zgaśnij: twe płomienie drzemią,
Mętne, a wstają tylko w chwili przerażenia,
Gdy śmierć grozi nicością i cmentarną ziemią...

A ty jedna trwaj, lampo mojego sumienia!

IV.

W cielesnych pragnień mych miłosny lot,
Znienacka, woli mej uderzył grot,
Tak, iż runęły w topielisko błot!

A gdy, krwawiące, legły, rzekłem im:
Kierunek lotu waszego był złym:
Pędziłyście tam, gdzie nicość i dym!

A oto teraz krwią ciekący bok,
W sercu glist zgniłych i robaków tłok,
Pieśni trup w ustach, w oczach — pusty mrok!

A tyle słońca, żywych gwiazd i zórz!
Anielskie góry, grody, świętość mórz,
Gaje, wabiące wonią pełnych róż!...

Błogosławiony niechaj będzie Pan!
I Śmierć, biorąca życie w śmierci tan!
I Prawda, uśmiech dusz, wśród krzyku ran!

V.

O niewiasto, wyryłem na ruin kamieniu
Imię twe, by spoczęło w zapomnienia cieniu,
Pośród roślin goryczy i głuchych nopalów...
Myśli, co w głębi czaszek zawodzą pieśń żalów,
Załkały konwulsyjnie nad smutnym mozołem
Rąk mych, usypiających życie pod popiołem
I rzucających serca żywy, święty przepych,
Niby drżące węzgłowie, dla robaków ślepych!...
O śnie! nędznym jest koniec ekstaz prawowiernych —
Znikomość!
Lecz ja krzyknę do gwiazd miłosiernych:
Wieczyste! weźcie w swoje świetlane łańcuchy
Wszelkie po zmarłem szczęściu owdowiałe duchy!

VI.

Panie, przedziwna radość rozjaśnia mi serce,
Iż nareszcie mój rozum, który był w rozterce
Srogiej i bezlitosnej z moją duszą białą,
Tak, iż krew z ran obojga tryskała nawałą
Żywą i ich w purpurze kąpała męczarnie,
Teraz stał się jej sługą i nosi latarnię
Przed nią, gdy noc zapada. I dobrze tak czyni,
Albowiem, jak murzynka, czarna morderczyni
Jasnych chłopców i dziewcząt naszych, ciemność
[głucha
Czyha, błyskając ślepiem złem, z którego bucha
Jakiś urok, śmiertelny, jak zatrute noże,
Jakiś obłęd tajemny, co wiedzie w bezdroże...

VII.

Srodze zranione, zbrukane fatalnie,
Podniosłem serce moje z dna kałuży —
I w niebo jasne, które pokój wróży,
Spojrzałem błagalnie...

VIII.

Tysiące gwiazd przychylnych! o trofea dziwy,
Zdobyte w bojach, które światło z mrokiem toczy,
Bądźcie nam jako bogiń opiekuńczych oczy,
Teraz kiedy Zachodu zgiełk umilkł burzliwy!

O Gwiazdy! rozlewajcie nam z niebios spokojnych,
Gdzie lśnią wasze kielichy jak lilie o wiośnie,
Promienistą woń waszych balsamów upojnych,
I sprawcie, by nam łona zadrżały radośnie!

Owiewajcie jasnością ciała nasze z gliny,
Wsiąknijcie zdrowiem w członki strudzone wśród [bitwy,
A ręce nasze lampę zapalą modlitwy
W ogniskach, skąd nimb jasny biorą cherubiny!

O Gwiazdy! uroczyste szeptajcie zwierzenia
O skarbach boskich, skrytych w głębokich niebiosach,
A będziem mieli szczęścia wzruszenie w swych głosach
I, natchnieniem wezbrane, zabrzmią nasze pienia!

W seraficznego Ognia rozgrzane płomieniu,
Serca nasze odpędzą chuć zdrożną i winę:
O Gwiazdy! odwiedzajcie dusz naszych dziedzinę,
Gdzie Anioły wygnane żyją, w zapomnieniu!

A kiedy nam rozkażą wyższe Przeznaczenia
Zstąpić z zamkniętem okiem w śmierci głuche doły,
Gwiazdy niebios pogodnych! w blask zmieńcie po-
[pioły,
I chrońcie od nicości Umarłych wspomnienia!

IX.

Ciemność nie jest tajemnicą. Tajemnica
Jest światłością, a mrok wrogiem jest tajemnic.
I czyż kiedy zamieszkała w głębiach ciemnic
Tajemnica, duchem jasna gołębica?

Odleciała z łanów słońca, ponad wierzchy,
I wstąpiła do świetlicy duchów świętych —
I nie znajdziesz jej na polach w pień wyciętych,
Ani w duszy tych, co mówią: »Zmierzchy...
[zmierzchy...«

Czasem, stojąc u dwóch światów już granicy,
Starzec ujrzy — i wnet potem w niebo leci.
Czasem mędrzec ją usłyszy w ustach dzieci,
A pragnący ją wypije z ócz krynicy.

Jest radością, sercem Słowa wśród płomieni;
Z jej rozkazu śpiewający, ma uśmiechy;
Nie widzący, nie znający — same grzechy
I wyrzutów ból, łkający pośród cieni...

W ludzkiej mocy jest wykrzyknąć: »Zorze świecą!
Z widnokręgów precz pierzchnęła ciemność marna:
Gołębico! zbóż złotawych oto ziarna,
Oto ołtarz naszej duszy, Tajemnico!

X.

Wszystko co było, było tylko snem...
Ale sen każdy posiada znaczenie,
A ja w swym mózgu blask mam i widzenie
I o ciemnościach rzeczy — dużo wiem.

Poza zwierciadłem żyłem Wschodnich Mórz,
W dziedzinach, kędy rozmyślają magi
I marmurowe drzemią sarkofagi
Z popiołem Wieków i światłością zórz...

I mógłbym ludziom prawić wiele słów,
Jedne zabójcze, a inne rodzące...
Lecz ty, co życie masz na jawie śpiące,
Pomyślisz pewnie, że to szereg snów?

I sprzecznie powiesz: »Poco tyle słów?
Niechajże palec zamyka nam usta:
O mowo ludzka, ty jesteś tak pusta,
Kiedy nadeszła już godzina snów!...«

Więc oto milczę, jak nieznany bóg,
Przybywający tajemnie w Tułaczu,
Przed którym, mimo duszy ludzkiej płaczu,
Wciąż swój zamykasz niegościnny próg!

XI.

Kiedy w tej to wiosennej ty zrywasz ustroni
Ciemno-błękitne fiołki o powiewnej woni,
Niestety, o Cerery córko, nie wiesz wcale,
Iż ciemny Pluton dąży za tobą zuchwale.
Znieść miana bezpłodnego nie ma już ochoty:
Wenus tymi samymi zraniła go groty,
Jakimi trafia celnie w głębi leśnych cieni
W plemię ptaków i szybko-biegnących jeleni.
O, słuchaj krzyków boga! Pod potężną dłonią
Dęba stają rumaki, co od światła stronią,
Łamiąc swemi kopyty chylące się trzciny
W moczarach, które żywią zdroje Kamaryny.
W tych pieczarach łka Henna, wszech-kwiatów [rodzica,
A Cyana swe wody jej łzami podsyca.
Wśród bladych nieboszczyków wnet ty będziesz [panią
I Junoną podziemną, władnącą otchłanią.

I oto życie, nagle, zgiełkiem swego znoju,
Naruszy nicość w grobów zamkniętą spokoju,
I odtąd wciąż napróżno nieszczęśliwe cienie
Z letejskich nurtów będą piły zapomnienie.

[J. MOREAS.]

XII.

Więc pożegnana bądź ziemi uśmiechem,
Kwiatem wyrosłym w ciszy cudnych łąk...
Oh! jakżem smutny! ale smutek — grzechem,
I oto uśmiech mam w łkaniu mych mąk!...

Czy z tobą jeszcze raz kiedy zobaczę?
Ludzie się garną do tajemnic wrót:
Jedni znów pójdą na losy tułacze,
Inni już marzą w blasku dobrych cnót...

Lecz ja? lecz moja dusza? moje losy?
O ty wszechwiedna! coś mi o nich mów:
Usta twe moje całowały włosy —
Niech z ust twych wyjdzie dźwięk proroczych słów!

Niech wiem, czy w tobie znajdę kraj ów złoty,
Kędy, po przejściu wszystkich ludzkich dróg,
Miłości mojej rozbiję namioty,
A smutek życia legnie u mych nóg?

Czy też, samotnie, z losami w rozterce,
Uczuję śmierci tajemniczy wiew? —
A noc mi księżyc położy na serce,
A glisty ziemi wyssą moją krew?...

Milczysz... Twe oczy, wpatrzone w przestworze,
Próżno badają niezmierzoną dal...
Chustką powiewasz już... Na pełne morze
Wypływaj, łodzi, powiernico fal!

Ale z pewnością wiedz: zawsze i wszędzie,
Czy tronem będziem my, czy grobem świat,
W smutnym istnienia mroku, świecić będzie
Wspomnienie twoje — cichy ognia kwiat...

XIII.

Szedłem. Ciało się gięło moje z wyczerpania;
Gwiazd nieme zwolna gasły pożegnania w niebie;
Szedłem, samotnie łkając na słońca pogrzebie
Między krukami nocy, w krainie wygnania.

Szedłem bez odpoczynku; — mimo że ku winie
Zdrożnie żywot się skłania, ani razu przecie
Nie złorzeczyłem tobie, o ty wonne kwiecie
Miłości, który kwitniesz o skrytej godzinie.

I oto ta godzina, słodka jako miody,
Niebieska i różowa, dzwoniąc w ranną ciszę,
Raduje się, iż moje pragnienie kołysze
Na falach pieśni pełnej anielskiej nagrody.

O, głębokie wołanie, które szczęście wskrzesza,
Pieszcząc jasną nadzieją dawnych dobrych czasów,
Rozlega się wśród ciemnej okropności lasów,
Gdzie moja dusza głowę, bolejącą, zwiesza...

Lecz pokój! Trud przeminął, lęk, zawrót otchłani,—
Oto spokój magiczny wśród płomieni lotnych,
Oto wino spragnionych, jasny chleb samotnych
I sen pod spojrzeniami Miłującej Pani.

XIV.

Tyś piękna jest jak gwiazdy, a dusza twoja biała,
A giętkość błyskawicy jest gibkość twego ciała.

Powiew wiosenny kona, drżąc, na mej jasnej twarzy,
Odgłos mych stąpań jest pieśnią odległych miraży.

W złotym dzbanie wody czerpiesz ze spokojnej studni,
Promienna cała od blasków czarownych południ.

Podlewam pragnień kwiaty, których wonne wachla-
[rze,
Chyląc się, omdlewają w słońca namiętnym żarze.

Na wzgórzu stajesz, gdy zapada wieczór uroczy,
I w dal idą zmierzchową twoje przedziwne oczy.

A ręce me posyłają swe białe wołania
I wzywają cię imieniem mojego kochania.

W tobie spełnienie pragnień i życia cel się mieści,
A serce się otwiera na jakieś dziwne wieści.

Moje kolana, kędy drzemią spadki taneczne,
Szepczą zwierzenia długie i zaklęcia odwieczne.

Dusza się ma spowiada w marzeniu twoich oczu,
A ręce się radują w cienistym twym warkoczu.

Huśtawką jestem z światła, z wahań się jasnych [pieśni,
A mój wybrany przy mnie w rozkoszy życie prześni.

Zwierciadłem jesteś cudów, zaklętem i bez zmazy,
A w niem goreje płomień wieczystych dusz ekstazy.

XV.

[MIECZYSŁAWOWI FRIEDMANOWI.]

Zaiste, bracie, dziwnie gdy mówią Proroki:
Nie wiedzieć, czy ich słowo żywi, czy zabija?
Czasem w granatu kwiecie ukrywa się żmija,
Czasem w szczelinach ruin rosy lśnią uroki.

Umysł ludzki jest jako ocean głęboki,
Tem głębszy, iż się niebo w nim chmurne odbija...
A duszy naszej Narcyz, biały jak lilija,
Tem bielszy, iż schylony nad głębią, gdzie mroki.

I tak wszystko! Płomiennych ogni stos — spowija
Ziemny, nieunikniony dym w głuche obłoki; —
A z gór patrzący, widzi: człowiek idzie — mija...
A tylko puste słychać w uszach kroki, kroki...

XVI.

Z życia strącony szczytów, jestem zawsze smutny
I cierpię bardzo w duchu, abym był litosny...
Słyszę, Słowo ze słońca i pachnącej wiosny
Powstało i już przyszło na ten świat okrutny...

Szuka, kołata do wrót domostw, lecz te — głuche.
O, żal ci, smutno? chciałbyś Gościa przyjąć godnie?
A jednak jeśli w domu twym mieszkają zbrodnie?
Lepiej, by serce było twe, przez litość, suche...

Bo pocóż domowników zasępiać oblicza?
Zmuszać Proroka użyć hańbiącego bicia?
Widzieć, jako pierzchają z świetlic opętani?

A potem (godzin krwawych bieg szybko się zbliża)
Wyśnić w ciemnościach widmo olbrzymiego krzyża
I słyszeć straszne Eli! lama sabaktani?...

XVII.

Przechodniu!
Przestrzeń wieczności jest pusta;
Siedmiu Tajemnic orszaki
Na wieki nieme są w sobie...
— Mówimy zmarłe już usta —
A tylko śpiewne twe ptaki,
Jedne śpiewają nam w grobie...
Lecz nigdy do gniazd nie wrócą
Skrzydlaci, którzy zanucą
W grobowcu...

XVIII.

W ogrodach śmierci zerwałem irysy,
Jasności smutnej kwiaty rozłączenia;
Na sarkofagach czytałem napisy,
Mające więcej dla żywych znaczenia,
Niżeli księgi Mojżesza i Isy:
Więc lutnię Moją oprę o cyprysy,
Owe milczące kolumny Wspomnienia!

XIX.

Już dusza moja, ogień i orlica,
Źródło i Wielki Dom znalazła w Panu;
Już rozum świeci mój nakształt księżyca
Ponad ruchomą głębią oceanu;
A tylko serce moje, wierna matka,
Zostanie ze mną, biedne! do ostatka!

XX.

O, niezbadane są boże wyroki,
Czasem światłością są, a czasem nocą:
Szczęśliwi, którzy gwiazdami się złocą,
Nieszczęśni, którzy w sobie żywią mroki!
Pierwsi śpiewają wzniośle, jak Proroki,
Drugim się skrzydła zranione trzepocą
Do oddalonych swoich gniazd, daremnie!
— Jedni i drudzy, o duszo, są we mnie...

XXI.

Ja milczenie ust moich zmienię
W radości głośny śpiew,
A bladość moich lic — w płomienie,
Których ognisko krew!

Ja oczu zamknięte orbity,
Ogarnione przez mrok,
Otworzę i w nieba błękity
Zwrócę tęskniący wzrok!

A ręce moje tak bezczynne!...
Ja wzniosę dwoje rąk —
I zerwę w sadach grono winne
I róży ciężki pąk!

A sieci te, które mi więżą
Ciało, rozedrę w szmat!
Ramiona moje się wyprężą
Na cały wielki świat!

XXII.

. . . . . .

. . . . . .

A potem z pnia mojego stanę się okrętem,
Abym się z wód ogromnym borykał zamętem,
Kiedy nadejdą burze, utkane z błyskawic
I z piorunów, co rzuci moc szatańskich prawic
Na Korabia mojego poświęcone deski,
Unoszące gołębic biel i cud niebieski.

A potem jam Zwycięstwo nadane mi chrzestem,
Którem, na zawołanie Silnych mówię: »Jestem!
W chwale chrobrych wojowań, co zbudziły śpiące,
I z uśmiechem królowań, zapatrzonych w Słońce!«

XXIII.

[STANISŁAWOWI CZARNOWSKIEMU.]

Czarny mój okręt, żagle jego czarne;
Złośliwe morze wzdyma swą głębinę...
Niebo posępne, chmurami ciężarne —
Ale ja płynę!

Ostatni ląd mnie odepchnął od brzegu,
Ostatnią wyspę — ominąłem z śmiechem!
A śmiech, odbity, grzmiał na fal szeregu
Szyderczem echem...

Płynę, aż wiry Magnetycznej Góry
Wciągną mnie w swoje czarnoksięskie wpływy:
Statku wiązania prysną, lecz z natury
Ja będę żywy,

Albowiem jestem z twardego żelaza!
— I śnić na Dziwnej Góry będę wierzchu,
I w zachwyceniu tam ujrzę Pegaza,
Krwawego w zmierzchu

Od purpurowych dwóch skrzydeł ogromnych!
— Krzyknę! i wziąwszy w karb Płomienne Zwierzę,
Ja, com był tutaj z włóczęgów bezdomnych,
W niebo uderzę!

POEZYE W JĘZYKU FRANCUSKIM

AUTANT EN EMPORTE LE VENT

OFFRANDE.

Sur la triste blancheur du Livre, document
De tous ces jours vécus, je veux, par un prodige
De patient labeur, que mon rêve se fige
En symboles harmonieux, profondément.

Ma physique beauté, versatile ornament
Qu'en sa fuite le temps amérement afflige;
Ma jeunesse qu'un Ange admirable dirige,
Me voilà tout entier prêt à l'Enchantement.

Quel sera-t-il? Le sais-je? Et pourtant je présume,
O foyer de clarté primitive et de brume,
D'après un certain don de voir en le futur:

Dans une plaine immense, et monotone, et verte,
Toujours! à l'appétit vorace de l'Azur
La flamboyante fleur de mon amour offerte!

RÉDEMPTION.

Le poète sachant la Beauté que Dieu sculpte
Captive de l'Impur, en quête du tranchant
Libérateur et clair, traverse l'âpre champ
Du monde limité, stérilement inculte.

Mais, las, il perd espoir et blasphème le Culte.
Alors, ayant pitié de lui, jamais méchant,
Le ciel miraculeux à travers le couchant
Le mène au coeur secret de son royaume. »Exulte,

O merveilleux chanteur! Ouvre la porte d'or
Du temple de ton rêve où la puissance dort,
Et voici devant toi toute une panoplie:

Ceins l'arme sûre! et que sur l'albâtre du sein
De celle qui sera la Splendeur accomplie
Saigne le chef sans tronc de l'Immonde assassin!

L'EPÉE.

Que, le ventre d'air gonflé,
Le gros soufflet
Fasse du charbon noirâtre
Jaillir en flamme rougeâtre
Un grand feu clair!
A l'oeuvre, mon gaillard! Gonfle
Le soufflet d'air,
Qu'il ronfle
Contre ce fer
D'où sortira, bien trempée,
L'Epée!

Plus fort, plus fort! Mort de Dieu!
Je vois le feu!
Souffle! Le noir fourneau fume,
Et je veux, moi, qu'il s'allume
Comme un enfer
Où, pareil à ce noir ange
De Lucifer,

Qu'il change
En feu, ce fer,
D'où sortira, bien trempée,
L'Epée!

Plus fort! La flamme mugit!
Il a rougi,
L'acier, ainsi qu'un nuage
Que rend rouge en son passage
Le soleil fier.
Souffle! Il faut qu'il soit livide
Comme l'éclair
Qui ride
Le ciel, ce fer,
D'où sotrtira, bien trempée,
L'Epée!

Sus! apprète les marteaux
Durs aux métaux!
Maintenant de la muraille
Arache-moi la tenaille
Qui n'a de pair!
Un, deux, trois! Le temps s'échappe!
Un, deux! Mon fier,
Tords, frappe,
Bats le chaud fer
D'où sortira, bien trempée,
L'Epée!

Sus! Bâille encor, sur ce bout,
Un dernier coup!
Et la voilà terminée,
Cette besogne damnée,
Coûtant si cher!
Aux grands vents ouvre la porte!
Le diable vert
M'emporte!
Comme du fer
Brun nous l'avons bien frappée,
L'Epée!

Vois comme son tranchant luit,
Il éblouit!
Mort de Dieu! vois, la coquine!
On dirait qu'elle a famine
D'un peu de chair?
Elle en aura, que je sache,
Car elle a l'air
Froid, lâche,
D'un serpent-fer!
Tant nous l'avons bien trempée,
L'Epée!

LE SERPENT.

Au septième jour des temps jamais détruits
Voilà que Dieu, noyé d'un océan de rêve,
Contemple le parfait chef-d'oeuvre qui t'achève,
O travail merveilleux des univers construits.

A l'ombre d'un figuier ployant sous l'or des fruits
Ses verts rameaux touffus et débordants de sève,
Près d'Adam, radieux, repose, allongée, Eve,
Les yeux clos, attentive aux sons d'étranges bruits...

La chair de leurs corps nus, blanche, superbe et
[lisse,
Sur l'odorant gazon, tressaille au chaud délice
Qu'un soleil jeune et clair par le Jardin répand.

Et Dieu devant la Femme et l'Homme est en
[extase;
Mais soudain il frémit, car du faîte à la base
De son être, il sentit courir un long Serpent...

PASSION.

Te baiser! te baiser! ô chère maladive!
O folle de seize ans qui m'affoles! o voeux
De mon coeur sanglotant! Eté navrant de feux
En un printemps où peu de fleurs et point d'eau
[vive!

Te mordre dans ta bouche où raille ta salive!
Dans ta gorge, partout! Et puis dans tes cheveux
M'entortiller, et te vouloir! Et je te veux,
Ecolière effrontée et sirène craintive,

Avidement, lâchement, comme un tas de vers
Un cadavre! moi le bateau morne qui penche
Avec mon âme au gouffre froid de tes yeux verts!

Je te veux! je te veux, te dis-je! moi pervers
De t'aimer! moi l'amoureux rêvant l'avalanche
De pourpre, ardente et rouge, au sein des neiges
[blanches!

LA SOLITAIRE.

Je meurs d'aimer! Ah! pouvoir te connaître, essence
De mon amour! Voici l'offrande de mon corps
Immaculé, Amant! Je règne, en quel décor
Unique à révéler ma magique puissance!

Toi! j'ai mentalement blasphémé l'innocence
Merveilleuse, ce soir, des Lys! Toi! mes mains d'or
Ont brûlé de meurtrir la Rose intacte encor
Afin de t'exulter de son irradiance!

Toi!!
Je suis affolée! Et toute transparence
D'étangs où, seule! seule! en le jardin qui dort
Au clair de l'astre bleu, ma nudité se tord!
Me navre jusqu'à choir en un gouffre de transe!

Et j'alarme d'appels véhéments le silence
Du vierge paysage, épars les cheveux, lors
Que tout songe, devers le Radieux, le Fort,
L'inconnu Bien-Aimé, source de ma souffrance!

En vain!
Et fuit la nuit; rit le vent et balance
Les beaux Lys abhorrés dont s'exhausse l'essor
Vers encore un soleil enflammé qui me mord
De n'être pas la fin de l'éternelle absence!

Et ne pas en finir! Me voir l'éxubérance
De la vie elle-même!
O hantise de mort
Soudain jaillie au froid éclair du stylet tors!
Tu ne saurais jamais devenir: Délivrance!

Non, Terre vorace et noire! mon apparence
N'embrassera ton sein à tout malheur accort,
Et n'y reposeront, cendres, les doux accords
De ma royale chair! Cruelle, l'Espérance

Toujours! illuminant d'amour la défaillance
Du triste Azur, persiste et prolonge le sort
De par lequel je suis La Solitaire au bord
D'un abîme envahi d'éternelle attirance!

SÉCHERESSE.

C'est, sous un grand ciel sourd, des cigales têtues
Le choeur désespérant criard et grimacier;
Le sifflement prompt et sec d'un serpent, acier
Filant, froid, parmi les pierres qui se sont tues;

La vision soudaine, atrocement pointue,
De brillants sabres nus au désir carnassier;
L'orgueil éblouissant d'un blanc et dur glacier;
Le son d'un clairon fou flagellant des statues.

C'est le regard haineux, plein d'éclairs de courroux
D'une femme stérile et dans du métal roux
Le bain délirant d'un avare osseux et rêche.

Et ce n'est jamais la rosée en pleurs, si fraîche!
Ce n'est jamais le chant aimé des coeurs bien
[doux;
Ce n'est jamais l'amour qui naît dans une crèche.

J'AI SOIF...

J'ai soif d'aimer d'amour, n'étant encor maudit,
Une calme et liliale amante de paradis.

Mon âme que ce désir rend heureuse, est chant
D'étoile douce, après les duretés du couchant.

Ah! j'ai soif d'aimer d'amour pur un lys de foi
Miraculeux, surgi des Epines de la Croix!

Car — que navrés ils en sont! — mes amours
[mondains
Ont bu à toutes ces vieilles fleurs de nos jardins.

PRINTEMPS.

Toujours tes yeux à compter les violettes
— Une, puis cent, puis mille — loin des chemins?
Ne veux-tu donc pas que te berce ma main
Presque endormie ainsi dans l'escarpolette?

O chère image en chair parmi les palettes
Que font les fleurs — roses, lilas et jasmins —
Seuls en ce parc où ne meurt le bruit humain
Que pour laisser jaser l'eau qui nous reflète!

Un ciel bleu, un ciel fleuri de papillons.
Dis, si nous disions à tes craintes: »Fuyons
Avec l'hirondelle, loin, comme des rêves?«

Ah! comme après ce baiser, le seul touchant,
Le seul vrai, on bénit le soleil couchant
D'allumer les Rosiers d'Amour sur les grèves!

BOUQUET FROID.

Je ne suis pas encor frère des condamnés
A regretter la vie, et la vie en moi plane;
Cependant je m'en vais par les champs où l'on
[glane
Avec humble douceur les pâles lys fanés.

Je me suis incliné comme ces ombres vaines
Qui portent des linceuls trainants couleur d'ennui,
Et, sous un firmament où nul astre ne luit,
En songeant, j'ai cueilli les roses souterraines.

Prends-le, ce froid bouquet, comme marque suprême
De mon immense amour, o toi seule que j'aime,
Et chaque soir aspire un moment ses parfums:

Par eux initiée à la monotonie
Navrante infiniment des climats d'agonie,
Moins amers te seront les regrets des défunts.

RONDEAU.

Un jour viendra, chérie, où l'ombre
De nos beaux jours suivra tes pas,
Très-blanche dans le noir très-sombre
Des jours tombés, lourds, gris et bas,
Sur la tristesse d'un décombre.

Sanglotant, seule, au son du glas
Où Jadis meurt en pleurs sans nombre,
Tu t'en iras dans la pénombre,
Un jour.

Pour le moment nul deuil n'encombre
Ton coeur, puisque tu ne sais pas!
Mais tu plaindras la nef qui sombre
Pour avoir laissé bien là-bas
L'île des chants et des lilas,
Un jour.

REPROCHES.

Que j'étais triste hier, Madame,
Aujourd'hui je le suis encor —
Vous auriez dû, o Lampe d'Or,
Venir illuminer mon âme!

Car j'étais voilé de ténèbres,
Et je craignais tout pour mon coeur!
Et je sentais tant de langueur
Gémir au fond de mes vertèbres!

Mais non, vous n'êtes point venue!
Et je fus seul à écouter
Les feuilles mortes sangloter
En tournoyant, dans l'avenue.

Et c'était là comme des plumes
D'oiseaux mortellement blessés
Que le vent méchant dispersait
Dans le silence et dans la brume.

L'HEURE.

J'ai marché, presque malgré la mort de mon corps
Et les adieux muets des étoiles propices,
Sous des enterrements du jour, dans des décors
De rochers, de déserts et d'affreux précipices.

J'ai marché sans relâche et pas même une fois,
Malgré ma vie à faillir un peu toujours prête,
Je n'ai maudit ton nom, ô rose de la foi
Et des amours à naître en une heure secrète.

Et voici que cette heure, ainsi qu'un angélus
Rose et bleu, vers un ciel de prière qui pense
Heureuse est de bercer mes bons désirs élus
De sa note d'argent faite de récompense.

Et le profond appel aux douceurs d'autre fois,
Aux caresses d'espoir, en cette heure promise,
Retentit dans l'horreur ténébreuse des bois
Où mon âme transie et nue erre, indécise.

Mais paix! Fatigue, mal, danger, tout est fini.
Voici la paix magique où voltige la flamme,
Le vin doux à ma soif, voici le pain béni
Et les songes divins sous les yeux de ma Dame.

SUPRÊME AMANTE.

Belle du charme froid de cité natale,
Tu m'apparais enfin toi que nul ne sait voir,
Et ton divin sourire éclaire le jour noir
Des prisons de la vie obstinée et fatale.

Vois, le soleil éteint sa gloire impériale:
Descends du balcon bleu de ton calme manoir,
Et viens! Je veux noyer mon âme au grand miroir
De tes yeux chers parés de pensées nuptiales.

Viens, oh, viens! Nous irions parmi les floraisons
Eternelles, et, sous le rêve des allées,
Silencieusement, je perdrais la raison;

Et j'entendrais la voix des âmes enallées
Bruire: »Oublie!« et je dirais des oraisons,
Et je m'endormirais dans ta robe étoilée!

PROTECTRICE.

Oui, c'est moi l'idéal des jardins éloignés
Où sont de beaux sapins pensifs auprès des roses,
Et l'ouvreuse de tes fenêtres, longtemps closes,
Au bon air, au ciel profond, d'étoiles baigné;

Et ta perte d'avant les temps, l'ange enseigné,
Selon ton coeur premier, à deviner les poses
Fiévreuses chastement en le péché morose
De tes rêves d'un noir désespoir imprégnés.

C'est pourquoi lève-toi, ô pauvre de la tombe!
Je suis la vie intime et bleue, et des colombes
Auréolent mon front très-pur de leur vol blanc.

Je suis tes yeux ravis, les lèvres s'étant tues,
Je suis la protectrice au sourire étoilant
Qui te protège avec la douceur des statues.

BÉATRICE.

Pâle, frêle et charmante, une âme l'on dirait;
Elle a des mouvements souples et doux de chatte,
La brise en frissons meurt sur sa peau délicate,
Et sa marche est un chant de bruits lents et discrets.

Elle puise de l'eau à la fontaine calme
Dans un arrosoir d'or, sous un soleil de feu,
Et va vivifiant à midi grands lys bleus
Et palmiers délaissés dont s'inclinent les palmes.

Le soir elle s'arrête au seuil de sa demeure,
Et voyant le Poète alarmé du chemin,
Attentive, elle tend vers lui sa blanche main,
Et l'appelle du nom qui fait que l'on demeure.

Saurait-on auprès d'elle encor dire: Je veux?
Le coeur s'est vite ouvert aux longues confidences
Que font ses deux genoux où dorment les cadences,
Sous le songe des yeux et l'ombre des cheveux.

Et l'on se sent bercé de vagues mayeroles
Dans la magie intense et mate de miroirs
Enigmatiquement traversés d'oiseaux noirs
Qui s'en vont, célébrant l'extase sans paroles.

AFFINITÉ D'OMBRES ET DE FLEURS EN LE SOIR.

O le tournoiement d'Ombres mortes
En l'espace bleu des airs vifs,
Et les cascades sous les portes
Des noirs palais pensifs des ifs!

O les danses sans pleurs de violes
Des diamants du ciel pâli,
Et les valses des lucioles
Sur l'herbe en pleurs, en fleurs d'oubli!

* * *

Aimez-vous les camélias,
Ophélia?
Julia?

Aimez-vous les acacias
Languissant au vent sonore,
Porcia?
Léonore?

La tubéreuse au long abandon,
Ninon?

Sur la pourpre royale, le lys
Alice?

* * *

O le tournoiement d'Ombres mortes
— Ophélia, Julia, Porcia, Léonore, Ninon, Alice —
En l'espace bleu des airs vifs,
Et les cascades sous les portes
Des noirs palais pensifs des ifs!

* * *

La lune, pâle esquif d'acier,
Emporte la Fleuriste triste;
Les fleurs meurent sur les glaciers
— Camélias, acacias, tubéreuses, lys —
Toutes les fleurs de la Fleuriste!

* * *

O les danses sans pleurs de violes
Des diamants du ciel pâli,
Et les valses des lucioles
Sur l'herbe en pleurs, en fleurs d'oubli!

JE PENSE...

Je pense: vont mourir les roses automnales
Dans un délire froid de nuances d'opales;

Je pense: vont s'éteindre encore des emblèmes
De joie, avec la chute, au loin, des feuilles blêmes;

Je pense: le soleil va luire en le ciel terne,
Vaguement, misérable ainsi qu'une lanterne;

(Des mains grises, des mains effrayantes de mortes,
Viendront les soirs ouvrir traîtreusement les por-
[tes...)

Et je clame: ah! pouvoir par cette mort régnante
Etre temple d'amour et force rayonnante!

DÉSOLATION.

Ah! tous les ennuis noirs de toutes ces années
Tristes jusqu'à mourir, et si jeunes pourtant!
Nous devions nous baigner aux sources du prin-
[temps
Et boire les ardeurs des roses émanées...

Et nous voici navrés, comme écoutant le temps
Fouler l'amas épars des guirlandes fanées,
O les soeurs de mon coeur à languir condamnées
Sous le dôme voilé du ciel inquiétant...

Et plus d'arbres fleuris aux jardins monotones!
C'en est fait. Le vent souffle, et maintes feuilles
[jaunes,
Et regrets vont dansant sur les gazons perdus.

Et telles sans espoir ces rives glaciales
Que, plongeant dans du sang leurs robes nuptiales,
S'évadent en clamant les rêves éperdus.

PLUIE.

La pluie encore tinte, tinte
Sur les vitres où le jour dort,
Tinte et suinte comme une plainte.

Hélas! toujours ces corridors
Où ne brûlent que des chandelles
Pour éclairer nos rêves d'or?

Je vois fuir un vol d'hirondelles
Vers les fleurs des climats élus.
O nos si tristes asphodèles!...

J'entends sonner des angélus,
Je ne sais plus en quelle église...
Pauvres pécheurs! pauvres réclus!

O ma très-douce âme incomprise,
Petite folle, fais dodo,
Dans ta longue tunique grise.

Je m'en vais baisser les rideaux:
Il fait si bon quand on se couche
Dans du vague, aux sons des jets d'eau...

Dors, soeur petite. Sur ta bouche,
Fleur morte que la gaîté craint,
Divagueront, noires, les mouches,

Et les abeilles de chagrin.

LA CHAUVE-SOURIS.

Louche chauve-souris,
En l'air bleu, gris
Vague
Tournoie, tournoie, tournoie:
La mouche en soie
Divague.

Voici l'heure. Le soir
Se fait plus noir.
Rose,
Pour toi, tournoie, tournoie,
La mouche en soie
Repose.

Glisse. Elle n'entend pas
Le lent trepas,
Proche,
Que sonne, sonne et sonne,
Tant monotone,
La cloche.

Oh, quel rouge angélus!
En l'air noir, plus
Sombre,
Chauve-souris en joie,
Tournoie, tournoie!
Tout sombre.

L'ARAIGNÉE.

Dans ma solitude, chaque soir,
Apparition d'ombre imprégnée,
Je vois venir la douce araignée.
Araignée du soir, espoir.

Sort-elle de quel secret couloir?
Elle est inquiétante et je l'aime.
Elle frôle en glissant ma main blême.
Araignée du soir, espoir.

Mais, pleine étant de subtil savoir,
Auprès de la table où je travaille,
Elle va veiller sur la muraille.
Araignée du soir, espoir.

Et la chanson, malgré mon vouloir,
Est de tristesse et d'ombre imprégnée:
En elle est l'âme de l'araignée.
Araignée du soir, espoir.

Le temps vient de souffler le bougeoir.
L'araignée, immobile et veilleuse,
Disparaît et devient travailleuse.
Araignée du soir, espoir.

Invisible, au fond du plafond noir,
Au-dessus de mon coeur qui vacille,
En silence, elle file, elle file.
Araignée du soir, espoir.

Elle file, et je sens, sans le voir,
Le tissu de sommeil et de songe
Qui, soyeux, s'élargit et s'allonge.
Araignée du soir, espoir.

Elle file, et je sens sur moi choir
La robe de prière imprégnée
Que destine aux partants l'araignée.
Araignée du soir, espoir.

VOILIER.

Tout voilier d'or arbore, en les ondes bénignes
Et si calmes, que rien n'y est à chuchoter,
Sous l'azur fané d'être en devoir de flotter
Hélas toujours! sa voile en plumages de cygnes,—

Et comme une espérance attend les anvahis
De nostalgique amour dont les belles mains blêmes
S'enfièvrent et les yeux s'ouvrent à ces emblèmes
Ornant les sveltes mâts, d'adieux aux vieux pays.

En vain. De bon matin la vie a clos les portes
Des prisons aux murs gris où saignent des bar-
[reaux
De métal sans merci, vainqueurs de ces mains
[mortes,

Mais non de ces beaux yeux fixés sur les bateaux!
Cependant, ô ce mal! qu'une immobile escorte
De cyprès vaguement s'ordonne au bord des flots.

EPOPÉE

I.

Sur mes matins tardifs la pluie sanglote, il pleut...
Et les aubes dorées, ce matin, sont lointaines...
Les lys de mon jardins agonisent, frileux
Et des reptiles verts nagent dans les fontaines.

Le jet d'eau vers l'azur languit: il pleut, il pleut.
Et le soleil réclame, ô nuages! sa gloire...
Les tournesols jaunes agonisent, frileux
Et le jet d'eau pleureur redit la même histoire.

II.

L'espérance de mon âme est morte en plein midi,
A l'heure où les choses n'ont point d'ombre, elle
[est morte;
Et les moines de mes chagrins, lourds et roidis,
Sont là, en plein midi, pour lui servir d'escorte.

Le cercueil est cloué; le cortège chemine,
Et les moines s'en vont aux rives sans demain.
Et, comme midi n'est plus et le soleil décline,
Ils vont, laissant de l'ombre aux longueurs du
[chemin.

III.

Les gestes des adieux se gravent dans la mémoire,
Et l'on attend toujours quelqu'un qui doit venir —
Et c'est en vain qu'on marche au fond de l'avenir:
Les gestes des adieux se gravent dans la mémoire.

Le soleil va plonger à l'horizon du soir;
Quelqu'un de bien aimé et de bon va partir:
Et voici dans mon âme encore un souvenir!
Et le soleil n'est plus à l'horizon du soir.

IV.

La vie est monotone comme les nuits moroses,
Après les jours de pleurs et les soirs d'infortune;
La vie est monotone comme les nuits moroses,
Et voici se lever au firmament la lune.

Ah! ne plus se heurter aux tristes métamorphoses!
Endormir dans la nuit l'ennui et la rancune!
La vie est monotone comme les nuits moroses,
Et des chauves-souris se posent sur la lune.

V.

Les sépulcres sont blancs, les morts silencieux,
Et dans la voûte nocturne scintillent les étoiles;
Les sépulcres sont blancs, les morts silencieux,
Et voici sur la mer immobile des voiles.

Nul vent n'éveillera la léthargie des voiles,
Sur les cercueils des nefs les cygnes des adieux!
Dans la voûte nocturne scintillent les étoiles;
Les sépulcres sont blancs, les morts silencieux.

EPAVE.

Me voilà solitaire, ô frôlements du soir
De ma vie,
Epave triste, les mains tendues
Vers l'astre jaune
Du souvenir,
Tandisque des sangsues
Gluantes sucent, monotones,
L'espoir:
Il faut mourir!

PRIÈRE AUX ETOILES.

[A VICTOR GASTILLEUR.]

Milliers d'astres cléments, adorables trophées
De triomphe absolu remporté sur la nuit,
Soyez-nous les beaux yeux sages des belles fées,
Maintenant que l'orage ardent a tu son bruit.

Etoiles! versez-nous de l'azur pacifique
Où tremblent les frissons de vos calices d'or,
Le radieux parfum de votre encens mystique,
Et faites que nos seins vibrent de joie encor!

Inondez de rayons nos corps faits de poussière,
Imprégnez de santé nos membres fatigués, —
Nos mains allumeront la lampe de prière
Au foyer des clartés que vous nous prodiguez.

Etoiles! faites-nous de longues confidences
Sur les trésors divins dans l'espace enfouis,
Et nos hymnes auront d'indicibles cadences,
Et nos chansons auront des accents inouïs.

Nos coeurs qu'exalteront vos séraphiques flammes,
Banniront à jamais loin d'eux tout amour vil!
Etoiles! visitez les sphères de nos âmes
Où vivent, méconnus, des Anges en exil.

Et lorsque le destin nous dira de descendre
Dans le gouffre profond des tombes pour dormir,
Etoiles du ciel pur! éclairez notre cendre
Et sauvez du néant l'âme du Souvenir!

M. DE GUERIN

CENTAUR

Urodziłem się w rozpadlinach tych gór. Podobnie jak rzeka doliny tej, której pierwotne krople ściekają ze skały, płaczącej w grocie głębokiej, tak pierwsza chwila życia mojego spadła w ciemność zamierzchłej okolicy, nie mącąc jej ciszy.

Matki nasze, kiedy się zbliża czas rozwiązania, uchodzą między pieczary, a w głębi najdzikszej z nich, bez jęku, rodzą owoce, milczące, jak one same. Mleko ich, mocne i posilne, sprawia, że zwyciężają bez słabości i niepewnej walki pierwsze trudy żywota. A przecież opuszczamy jamy nasze później, aniżeli wy wasze kołyski. Albowiem powszechną jest pośród nas wiara, iż należy chronić i starannie ukrywać pierwsze doby istnienia, bo te składają się z dni wypełnianych przez bogów.

Rozrastanie się moje dokonało się niemal całkowicie wśród mroków, w których się urodziłem. Dno miejsca przybywania mojego tak daleko wdzierało się w miąższ góry, że nigdybym nie poznał wnijścia

do niego, gdyby nie wiatr, który zbaczając, ogarniał je świeżością i niespodzianym ruchem. Czasami także matka moja wracała owiana zapachem dolin, albo kapiąca od fal, do których często szła w odwiedziny. Otóż te powroty jej, nie dając jeszcze dokładnego pojęcia o jarach i rzekach, odurzały mię i tak mąciły zmysły, że błąkałem się w szalonem rozdrażnieniu po ciemnościach. Czemże są — mawiałem do siebie — te dale, kędy matka moja uchodzi, a co w nich tak potężnego przebywa, co ją do siebie woła zbyt często? A jakie sprzeczne odbiera tam wrażenia, że codziennie wraca inaczej wzruszona? Matka moja jawiła się, to ożywiona głęboką radością, to smutna i wlokąca się i jakby zraniona. Radość, którą niosła, widniała z daleka już w jej chodzie, rozlewała się w jej spojrzeniu i udzielała się mnie głęboko; przygnębienia jej jednak bardziej na mnie działały, nieprzeparcie ciągnąc do koła dziwnych przypuszczeń, ku którym duch mój się skłaniał... W chwilach podobnych niepokoiło mię poczucie własnych sił. Rozpoznawałem w nich moc, która nie mogła pozostać samotną. I wstrząsając ramionami lub coraz zwiększając szybkość gonitwy mojej po przestronnych ciemnościach jaskini, siliłem się znaleść w razach, którymi uderzałem w próżnię, i w naprzód miotających się skokach to, ku czemu ramiona moje wyciągać się miały, a nogi miały mnie unosić.

Od tego czasu oplotłem ramiona moje około

popiersia wielu centaurów, i ciał bohaterów, i pni dębów; ręce moje przeszukały kamienie, wody, rośliny niezliczone i chwytały najsubtelniejsze wrażenia powietrzne. Wznosiłem je w noce ślepe i głuche — i brałem niemi szmer i lotne powiewy, i dotykałem się znaków wróżebnych swej drogi. Nogi moje — spójrz, o Melampie, jak są zużyte! — A przecie, mimo żem w lód stężał i u schyłku wieku, bywają dni, kiedy w pełnym blasku, na wyniosłych szczytach, powtarzam te same gonitwy, jakie mnie niosły za młodu w głębi pieczary. W tym samym celu prężę ramiona i zużywam reszty swej krzepkości. Odtąd nie powstało w całej mej istocie żadne inne uczucie, prócz uczucia, że rosnę i że stopnie życia piętrzą się w mem łonie. Straciwszy skłonność do wszelkich szalonych porywów i ukrywszy się w zupełnym spoczynku, korzystałem niezmącenie z dobrodziejstwa bogów, rozlewającego się we mnie. Cisza i mroki przodują tajemnemu czarowi używania życia. Cienie, zamieszkujące rozpadliny tych gór! waszym to troskom milczącym zawdzięczam owo wychowanie na uboczu, które mię tak silnie karmiło i ten żywot pędzony w czystości i płynący wprost z łona bogów. Kiedy z waszego schronienia zeszedłem do dziennego światła, zatoczyłem się i nie pozdrowiłem go radośnie — zawładnęło mną bowiem gwałtownie, odurzając tak, jakby to sprawić mógł napój złośliwy, nagle w pierś wlany — i oto od-

czułem, iż me jestestwo, dotąd tak mocne i proste, chwiać się poczęło i tracić dużo z samego siebie, jakby przed rozwiewaniem się w powietrzu...

O Melampie! który chcesz poznać życie centaurów, przez jaką to wolę bogów skierowano cię ku mnie, najstarszemu i najsmutniejszemu z nich wszystkich? Od dawna już nie żyję trybem ich życia. Nie opuszczam wcale szczytu tej góry, na której wiek mię postawił. Ostrze strzał moich służy mi jedynie do wyrywania roślin upartych; jeziora spokojne znają mnie jeszcze, lecz wartkie rzeki — zapomniały... Opowiem Ci niektóre przejścia z czasów mej młodości; — ale wspomnienia te, w przyćmionej pamięci zrodzone, wloką się jak ciecz skąpej libacyi, sączącej się wolno z uszkodzonej urny. Opisałem Ci z łatwością najpierwsze lata, gdyż były one spokojne i doskonałe; życie pogodne i proste karmiło mnie — to się trzyma pamięci i wypowiada bez trudu. Bóg, uproszony o opowieść swego życia, zamknąłby ją całą w dwóch słowach, o Melampie!

Bieg młodości mojej szybkim był i pełnym wzburzeń. Żyłem w nieustannym ruchu i nie znałem granic dla swych kroków. W dumie swoich sił wolnych, włóczyłem się, ogarniając sobą cały obszar tych puszcz. Pewnego dnia, przebiegając dolinę, spotkałem człowieka, idącego wdłuż rzeki, po przeciwnym jej brzegu. Pierwszym był, który oczom moim się jawił — wzgardziłem nim. Oto jest zaledwie — rzek-

łem do siebie — połowa mej istoty! Jakże nogi jego są krótkie, a ruchy niezgrabne! Oczy jego zdają się mierzyć przestrzeń ze smutkiem. Jest to zapewne centaur zgromiony przez bogów, a zniewolony przez nich, włóczy się w ten sposób...

Często, po całodziennych trudach, zażywałem wywczasu w łożysku strumieni. Połową ciała mego ukryty pod wodą, miotałem się, aby ją pokonać podczas gdy drugą wznosiłem spokojnie, ramiona me unosząc wysoko ponad falami. W ten sposób zapominałem się wśród toni, powierzając siebie woli prądów biegnących. Niosły one w dal lub prowadziły swego dzikiego gościa ku wszystkim czarodziejstwom wybrzeży. Wieleż to razy, przez noc zaskoczony, szedłem z prądami w mroku, który rozchodząc się, składał na dnie najskrytszych jarów nocną władzę bogów. Natura moja nieposkromiona łagodniała wtedy do tego stopnia, że lekkie tylko poczucie bytu rozlewało się wskróś mego istnienia, tak jak w wodach, po których pływałem, promienie bogini, noc przebiegającej. Melampie, starość moja tęskni za strumieniami: spokojne po większej części i jednostajne, toczą się za swem przeznaczeniem z większym spokojem, aniżeli centaury i z dobroczynniejszą mądrością, aniżeli ludzie. Kiedy opuszczałem ich łona, za mną szły ich dary, towarzysząc mi dniami całymi, a precz odchodziły, wolno i nieskoro sposobem ulatniających się woni. Niestałość dzika

i ślepa rządziła moimi krokami. Wśród najgwałtowniejszej gonitwy nieraz zdarzyło się, żem stanął jak wryty na miejscu, jak gdyby otworzyła się mi przepaść pod stopami, lub nagle bóg jakiś przede mną się zjawił. Przez te unieruchomienia i przez pędy znienacka przerwane, odczuwałem głęboko życie, całe wzruszone własnem mojem wzburzeniem. Niegdyś łamałem w lasach gałęzie i w pełnym biegu wznosiłem je nad głową; szybkość pogoni wstrzymywała poruszenie się liści, które przebiegało wtedy tylko lekkie drżenie; ale przy najmniejszem zwolnieniu, wiew i ruch wstępował napowrót w gałęzie, a one znowu szeptały żałośnie.

Tak to życie moje, po każdem nagłem przerwaniu gonitwy burzliwej, niosącej mię przez uroczyska, drżało w całej mej piersi! Czułem, jak biegło, wrąc; jak toczyło ogień, dobyty z gorąco przebiegniętej przestrzeni. Biodra moje rozgrzane walczyły przeciw owym falom, które je z zewnątrz ściskały i znajdowały w burzach tych jedynie morskim wybrzeżom znaną rozkosz zamykania w sobie żywiołu, podniesionego do najwyższych szczytów mocy i wzburzenia. Tymczasem, z głową schyloną w wietrze, niosącym mi świeżość, przypatrywałem się wierchom gór ginących w oddali, nadbrzeżnym drzewom i wodom strumieni: te wolno niesione wlokącym się biegiem — tamte przyrosłe do łona ziemi, a ruchome tylko swymi liśćmi, poddającymi się podmuchom wietrz-

nym, sprawcom ich jęku. »Ja sam jeden — mówiłem do siebie — posiadam wolność ruchu i przenoszę się wedle swej woli z jednego do drugiego krańca tej doliny. Jestem szczęśliwszy od potoków, które spadłszy z gór, nigdy już do nich nie wrócą. Dźwięczący odgłos mych kroków piękniejszym jest od jęku lasu i szmeru wód; jest to w pełnej swobodzie rozleganie się centaura, który rządzi sam sobą. A kiedy biodra me burzyły się, upojone jazdą, wyżej odczuwałem dumę, a odwracając w bok głowę, patrzałem przez chwilę na grzbiet mój dymiący.

Młodość podobną jest do zielonych lasów, falujących w wietrze: potrząsa z wszystkich stron bogatymi darami istnienia, a zawsze jakiś głęboki szmer tkwi w jej konarach. Żyjąc, jak swobodnie poddające się rzeki, wdychając wciąż wonie Cybeli — bądź w dolin łożysku, bądź na szczytach gór, rzucałem się wszędzie, niby życie ślepe i rozpętane. Lecz kiedy, pełna boskiego spokoju, noc znachodziła mię u gór pochyłości — wiodła wtedy do jaskini i uspakajała, jak uspokaja nurty morza, zostawiając we mnie tylko lekkie falowania, które ożywiały sen, nie mącąc spoczynku. Leżąc u progu schroniska, z grzbietem w jaskini, a z głową pod niebem, śledziłem pełzanie cieni. Wtedy to obce życie, które mnie za dnia było przeniknęło, odczepiało się ode mnie, kropla za kroplą, wracając z po-

wrotem do ciszą owianego łona Cybeli; tak po ulewie resztki deszczu, wiszące na liściach, spadają i łączą się z wodami. Mówią, że bogowie morscy opuszczają swoje głębokie dziedziny, a usiadłszy na przylądkach, snują spojrzenia swoje po falach. Tak ja czuwałem, mając u nóg mych życia obszary, podobne do uśpionego morza. Z chwilą powrotu do bytu wyraźnego i pełniejszego, zdawało mi się, jakobym dopiero się urodził i jakoby, wody głębokie, które mię w swem łonie poczęły, zostawiły na górskiej wyżynie, jak delfina zapomnianego przez fale Amfitrydy na ruchomych piaskach.

Spojrzenia moje biegły swobodnie, sięgając najodleglejszych krańców widnokręgu. Jak wybrzeże zawsze wilgotne, tak łańcuchy gór Zachodu były nasiąknięte światłem, nie całkiem zwalczonem przez ciemność. Tam żyły wciąż, w blaskach bladawych, szczyty nagie i czyste. Tam nieraz widywałem Pana, schodzącego wiecznie samotnie; — chóry bóstw tajemnych lub nimfę górską, upojoną czarami nocy. Czasem orły olimpijskiej góry przelatywały poprzez sklepienie nieba i znikały w konstelacyach dalekich, albo zapadały w gęstwinę lasów natchnionych. Duch bogów, ruszając się, mącił nagle ciszę starych dębów.

Ubiegasz się o mądrość, o Melampie! która jest wiedzą o woli bogów — i idziesz od narodu do narodu, jak śmiertelnik zbłąkany z mocy przezna-

czeń. Jest w okolicach tych kamień, który za najmniejszem dotknięciem wydaje dźwięk, podobny dźwiękowi zrywających się strun — a ludzie opowiadają, że Apollo, zganiający trzody swe po tych puszczach, położył raz na tym kamieniu swą lutnię i w nim pozostawił ową melodyę. O Melampie! błądzący bogowie pozostawiali każdy lirę swą na kamieniach, lecz żaden... żaden jej nie zapomniał.

Za czasów kiedy jeszcze czuwałem w pieczarach, wierzyłem nieraz, że już, już miałem przeniknąć marzenia Cybeli uśpionej — że matka bogów, przez sny zdradzona, wyda niejedną z tajemnic — lecz nie wyszpiegowałem nic prócz dźwięków topiących się w tchnieniu nocy, albo wyrazów niepewnych, jak wrzenie strumieni.

»O Makareuszu!« — rzekł mi pewnego dnia wielki Chiron, za którego starością w ślad szedłem — jesteśmy obydwaj centaurami gór, lecz jakże żyjemy odmiennie? Widzisz oto — wszystkie zabiegi moich dni polegają na szukaniu roślin, a ty, ty jesteś podobny do tych śmiertelnych, którzy podjęli z wody albo w gajach i do ust przyłożyli kilka piszczałek przez boga Pana połamanych. Od tej chwili śmiertelni, z tych boskich szczątków wchłonąwszy w siebie nieposkromioną duszę, lub wyzyskawszy jakiś zapał tajemny, wkraczają w puszcze, nurzają się w borach, idą z biegiem wód, mieszają się z górami, niespokojni, gnani nieznanym zamiarem. Klacze uko-

chane przez wiatr w najodleglejszej Scytyi, nie są płochliwsze od ciebie, ani smutniejsze wieczorem, z odejściem Akwilonu. Szukaszli bogów, o Makareuszu! i skąd powstali ludzie, zwierzęta i źródła ognia powszechnego? Lecz stary Ocean, rodzic wszystkiego, zachowuje w sobie samym te tajemnice, a nimfy otaczające go, tworzą przed nim, śpiewając, krąg wieczysty, by ukryć to, coby się wymknąć mogło jego wargom wpółotwartym we śnie. Śmiertelni, którzy przez cnotę swoją wzruszyli bogów, dostali z rąk ich liry, aby czarować narody, albo nowe nasienia, aby je wzbogacać — lecz nie z ich ust niezłomnych.

Od pierwszej mojej młodości Apollo skierował mnie ku ziołom i nauczył wydobywać z ich żył soki dobroczynne. Odtąd pozostałem wiernie w tem wielkiem górskiem mieszkaniu, gdzie niepokój nieraz mię ogarnia — lecz wtedy zwracam się do roślin i dzielę się z innemi własnościami, które w nich odkrywam. Czy widzisz stąd łysy szczyt góry Oety? Alcyd ogołocił ją, aby stos sobie zbudować. O Makareuszu! półbogi, synowie bogów, rozciągają skóry lwów na stosach i trawią się na górach. Trucizny ziemi zakażają krew otrzymaną od nieśmiertelnych! A my centaury, poczęci przez śmiałego śmiertelnika w łonie mgły, bogini podobnej, czego mielibyśmy się spodziewać od Jowisza, który spiorunował ojca rodu naszego? Sęp bogów rozdziera nieustannie

wnętrzności rękodzielnika, który ulepił kształt pierwszego człowieka. O Makareuszu! ludzie i centaury uważają za twórców krwi swojej owych zdzieraczy przywilei nieśmiertelnych, a może wszystko, co zewnątrz nich się porusza, jest tylko kradzieżą dokonaną na ich szkodę, lekkim szczątkiem ich natury, zaniesionym w dal, jak nasienie lecące w wszechmocnem tchnieniu przeznaczeń? Głoszą, iż Egeusz, ojciec Tezeusza, ukrył pod ciężarem skały nad brzegiem morza, pamiątki i znaki, po których mógłby syn kiedyś rozpoznać swoje pochodzenie. Bogi zazdrosne zakopały głęboko świadectwo powstawania rzeczy, ale z brzegu jakiegoś oceanu strąciły skałę, która je pokrywa, o Makareuszu!«

Taką była mądrość, ku której wiódł mię wielki Chiron. Ostatecznej dobiegłszy starości, centaur żywił w swym duchu najwznioślejsze słowa. Biust jego, jeszcze śmiały, ledwie upadał mu ku bokom, z ponad których wznosił się lekko schylony, jak dąb zasmucony burzą; a sprężystość nóg jego nieznacznie ucierpiała ze stratą lat. Rzekłbyś, zachował resztę nieśmiertelności otrzymanej od Apollina, lecz którą zwrócił był temu bogu.

Co do mnie, o Melampie! pogrążam się w starość, spokojny, jak gasnące gwiazdy. Zachowuję dosyć odwagi, by piąć się na wirchy skalne, gdzie nieraz do późna przybywam, patrząc to na dzikie i niespokojne chmury, to na dżdżyste Hyjady, wra-

cające z głębin horyzontu, albo też na wschody plejad i wielkiego Oriona. Ale przyznaję, iż słabnę i szybko siebie zatracam, jak śnieg unoszący się ponad falami; i niebawem pójdę, by zmieszać się ze strumieniami, płynącymi w łonie szerokiej ziemi.

SPIS RZECZY:

Str.

. 1

DOMUS AUREA

I. 5
II. 7
III. 8
IV. 9
V. 10
VI. 11
VII. 13
VIII. 14
IX. 15
X. 17
XI. 18

TRYUMFY

[Cztery Sonety, pisane razem z bratem poety, Stanisławem]

Ojcu swojemu synowie Stanisław i Wincenty 21
Słonie 22
Tarcza Achillesa 23
Dawid 24

Str.

SPOTKANIE

I. 27
II. 28

WĘGLEM SMUTKU I ZGRYZOTY

I. 33
II. [J. A. KISIELEWSKIEMU] 34
III. 36
IV. 38
V. 39
VI. 40
VII. 41
VIII. 42
IX. 44
X. 45
XI. 46
XII. 47
XIII. 48
XIV. [JERZY RODENBACH] 49
XV. 50
XVI. PSYCHE, MOJA DUSZO. Edgar Poe. [J. MORÉAS] . . 51
XVII. 53
XVIII. 55
XIX. 56
XX. 57
XXI. 58
XXII. 59
XXIII. 60
XXIV. 61
XXV. 62
XXVI. 64

Str.

SYMBOLE

I. 67
II. 69
III. 71
IV. 72
V. 73
VI. 74
VII. 75
VIII. 76
IX. 78
X. 80
XI. [J. MORÉAS] 82
XII. 84
XIII. 86
XIV. 88
XV. [MIECZYSŁAWOWI FRIEDMANOWI] 90
XVI. 91
XVII. 92
XVIII. 93
XIX. 94
XX. 95
XXI. 96
XXII. 97
XXIII. [STANISŁAWOWI CZARNOWSKIEMU] 98

POEZYE W JĘZYKU FRANCUSKIM

AUTANT EN EMPORTE LE VENT

Offrande 105
Rédemption 106
L'Epée 107
Le Serpent 110

Str.

Passion 111
La solitaire 112
Sécheresse 114
J'ai soif... 115
Printemps 116
Bouquet froid 117
Rondeau 118
Reproches 119
L'Heure 120
Suprême amante 122
Protectrice 123
Béatrice 124
Affinité d'Ombres et de Fleurs en le soir 126
Je pense... 128
Désolation 129
Pluie 130
La Chauve-souris 132
L'Araignée 134
Voilier 136

EPOPÉE

I. 139
II. 140
III. 141
IV. 142
V. 143
Epave 144
Prière aux Etoiles [A VICTOR GASTILLEUR] 145

M. DE GUÉRIN

CENTAUR 149

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

POEZYA WSPÓŁCZESNA:

STANISŁAW KORAB BRZOZOWSKI
NIM SERCE UCICHŁO

WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI
DUSZA MÓWIĄCA

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI
STUDYA NAD KRÓLEM DUCHEM

Część pierwsza
MISTYKA SŁOWACKIEGO

Część druga
KRÓL DUCH

DZIEŁA CYPRYANA NORWIDA

Pierwsze kompletne krytyczne wydanie w ośmiu tomach. w układzie i pod redakcyą ZENONA PRZESMYCKIEGO (MIRIAMA)

WYBÓR PISM EDGARA ALLANA POEGO

w przekładzie ARTURA GÓRSKIEGO I STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO.

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

POLSKA EDYCYA DZIEŁ FRYDERYKA NIETZSCHEGO W WYD. CAŁKOWITEM

[BEZ SKRÓCEŃ]

Rb. k.

TAKO RZECZE ZARATUSTRA

Cztery części. Przełożył WACŁAW BERENT

wydanie ozdobne z portretem Nietzschego — akwafortą oryginalną F. Siedleckiego . . . . . 3.—
wydanie ozdobne w oprawie 3.50
» *wytworne w 25 numerowanych egzemplarzach* . . 7.50
» *zwykłe tanie* 1.60

POZA DOBREM I ZŁEM

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne . . . . . 2.—
» » *w oprawie* 2.50
» *wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach* . . 5.—

Z GENEALOGII MORALNOŚCI

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne . . . . . 2.—
» » *w oprawie* 2.50
» *wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach* . . 5.—

DYTYRAMBY DYONIZYJSKIE

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne . . . . . —.60
» » *w oprawie* 1.35
» *wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach* . . 1.10

ZMIERZCH BOŻYSZCZ

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 1.20
» » *w oprawie* 1.70
» *wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach* . . 2.75

WIEDZA RADOSNA

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.50
» » *w oprawie* . . . . . 3.—
» *wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach* . . 6.—

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

Rb. k.

JUTRZENKA

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 2.50
» » w oprawie . . . . . 3.—
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach . . 6.—

ANTYCHRYST

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne . . . . . 1.—
» » w oprawie 1.50
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach . . 2.50

NARODZINY TRAGEDYI

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.60
» » w oprawie 2.10
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach . . 4.—

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE

Tom pierwszy. Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.50
» » w oprawie . . . . . 3.—
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach . . 6.—

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE

Tom drugi. Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.50
» » w oprawie . . . . . 3.—
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach . . 6.—

WOLA MOCY

przełożył WACŁAW BERENT

wydanie ozdobne . . . . . 3.—
» » w oprawie 3.50
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach . . 7.—

ECCE HOMO (Autobiografia)

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.50
» » w oprawie . . . . . 2.—
» wytworne na czerpanym papierze . . . . . 4.—

WACŁAW BERENT

ŹRÓDŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU . —.80

Portret FRYDERYKA NIETZSCHEGO

akwaforta oryginalna Franciszka Siedleckiego

na papierze grubym . . . . . 1.—
na papierze japońskim . . . . . 3.—

24.—
41334/15465

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

Rb. k.

H. POINCARÉ. WARTOŚĆ NAUKI
przekład Dra LUDWIKA SILBERSTEINA 1.50

H. POINCARÉ. NAUKA I HYPOTEZA
przekład M. HORWITZA 1.50

H. POINCARÉ. NAUKA I METODA . . . . . *w druku*

ST. GARSKI. SYSTEM FILOZOFII 1.50

ST. KARPOWICZ. IDEAŁY I METODA WYCHOWANIA WSPÓŁCZESNEGO . . . . . —.60

R. MINKIEWICZ. O PEŁNI ŻYCIA I KOMUNIE DUCHOWEJ . . . . . —.60

E. RENAN. ŻYWOT JEZUSA
przekład A. NIEMOJEWSKIEGO 1.20

JOHANNES SCHLAF. WIOSNA
przekład ST. PRZYBYSZEWSKIEGO . . . . . 1.—

F. BRODOWSKI. DRZEWA . . . . . 1.—

B. BORNSTEIN. ZASADNICZY PROBLEMAT TEORYI POZNANIA KANTA 1.60

127.
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU